WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK SZÓSTY.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1836.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1836 d. 2 Sierpnia.

Cenzor L. Borowski.

HISTORYA
TEATRU I SZTUKI DRAMATYCZNÉJ W AMERYCE PÓŁNOCNÉJ.

Aktor, pomimo siebie samego, swojego talentu, osobistego szacunku jaki mógł wzbudzić, był zawsze istotą obcą rzeczywistemu towarzystwu. Sztuką jego jest zmyślenie; życie jego zależy na udawaniu życia odmiennego od prowadzonego przezeń: a tak, w krajach nawet najmniéj podległych klątwóm i przesądóm, jakie wieki barbarzyńskie rzuciły na teatr, aktorowie wiodą życie odosobnione; sfera ich jest oddzielną. I w rzeczy saméj niewiadomo jakie miejsce naznaczyć temu, którego właściwym cha-

rakterem jest mimiczne naśladowanie wszystkich charakterów.

Garrick, który stał na równi z największymi magnatami swojego czasu, i który otrzymał zaszczyt spoczywania wiecznie z nimiż pod sklepieniami Westminsteru; Garrick nie przestał bydź jednak aktorem; wygwizdywano go i poklaskiwano mu naprzemian; a położenie jego jakkolwiek podziwiane, nie było wszelakoż wyjątkowém. A tak, życie to rzucone za ustawy społeczne, zawieszone pomiędzy pogardą i uniesieniem; to życie monarchy i tułacza; życie równe królóm, życie uwieńczone laurami lub się wlokące w zakątkach gospody, upstrzone jest sprzecznościami, jakie go na dziwaczny romans zamieniają. Gdyby większa część aktorów wiedziała, co za skarb się wzruszeń i ciekawości w ich istnieniu zawiéra, opisywaliby go bez wątpienia, i my posiadalibyśmy mnóztwo zajmujących własnoręcznych bijografij. Lecz, na nieszczęście, uczucia obecne, potrzeba powodzenia na dzisiaj, obawa niepomyślności na

jutro, prawie ich wszystkich obciążają. Jeśli gdzie, to za kulissą najmniéj jest miejsca i czasu na rozważanie i rozbiór siebie samego.

Trzeba się troszczyć o swoję powierzchowność, o ubiór, o widzów, o suflera, o publiczność, o tego, który stwarzał rolę, o tego, który w dyalogu odpowiadać będzie. I wśrzód tych myśli rzeczywistych, tych zajęć gorączkowych, znajdź, proszę, sposób zgłębienia własnego serca, udzielenia bacznego ucha na jego krzyki i szemrania, rozebrania go szczegółowie z ostrożnością anatomika i filozofa.

Jednego znam tylko aktora, który w pamiętnikach swoich zostawił dokładny obraz zakulissowego stanu; obraz świetny, ożywiony, lekki, niedbały, szczéry, pełen próżności i zarozumienia. Aktorem tym był Colley Cibber, żyjący w Anglii w XVIII wieku. Nie pisał on swojego *życia*, coby było zbyt prostém, lecz swoję *apologiją*. Podobnie Richelieu lub Bonaparte, oskarżeni przez swych nieprzyjaciół, mogliby pisać

swoje pamiętniki w kształcie apologetycznym. Oskarżano Cibber'a o nieznośną miłość własną, obrażającą zarozumiałość, zuchwały przepych. On się usprawiedliwia; i w jakichże wyrazach, z jaką ważnością magnata, z jak fałszywą pokorą światowego człowieka, z jakiém przekonaniem o swém wysokiém znaczeniu.

Usprawiedliwiając się dowodzi, że jego przeciwnicy zupełną mają słuszność za sobą, że nigdy ani skromność, ani poważanie przyzwoitości zarzucanémi bydź mu nie mogą. Lecz z resztą pamiętniki te są wyborném świegotaniem; czytelnik zamienia się w aktora jak Cibber, zajmują go rozdawanie rol, wpływy kassowe, i bierze udział w stronnictwie młodéj, piérwszykroć występującéj, aktorki, przeciwko piérwszéj tragicznéj artystce. Podziela on zarówno wszystkie ich kłótnie i ich miłostki zakulisowe, a za przykładem Cibber'a, kończy uważaniem świata jako podległego teatrowi, społeczności ogółowie jako pomocniczki bardzo mało znaczącéj zakulisowego świata,

aktora zaś za coś większego od wszystkich wielkości.

A tak rzeczywista ważność przedmiotu daleką jest od nadania wartości dziełu, tudzież interesowi, jaki przedstawia. Co nas może obchodzić wiadomość, że miss **Polly** umiała się przypodobać w rolach subretek, lub że dyrektor odbył pojedynek z piérwszym komikiem? Żaden z tych szczegółów nie ma najmniejszéj wewnętrznéj wartości. Lecz to wszystko, co wyjaśnia ogółowe życie ludzkości, zasługuje na uwagę. Byt aktorów, jakeśmy powiedzieli, jest dziwnym, osobliwym, rzuconym za prawidła powszechne. Któż nam opowié ich wzruszenia, kto wskrzesi wzburzenia, odmiany oraz intrygi tego małego świata, których społeczność nie zna? Jeśliby **Colley Cibber** (*)

---

*) Dwóch Anglija miała aktorów i autorów dramatycznych, zwanych Cibber, ojca i syna, zmarłych w jednymże roku (1757). Lecz tu o sławniejszym z nich Colley Cibber'ze, ojcu, czynimy wzmiankę. Wiele sztuk jego zasłużyło na pochwałę Pop'a, a w 1730 został on poetą uwieńczonym.

tego nie uskutecznił, brakłoby rocznikóm tegoczesnéj cywilizacyi pięknéj karty społecznéj historyi. Jednakże w téj książce nie ma żadnego czynu, mogącego się nazwać historycznym; żywość opowiadacza, jego obfitość, interes, jaki nadaje swemu opisowi, a nade wszystko sobie samemu, stanowią cały powab jego dzieła.

Należy żałować, że narody obce nie miały swoich Colley Cibber'ów. Znajdują się kraje, gdzie sztuka nie ma bytu, lub istnieje tylko w zarodku, a gdzie jednak historya artystów rozbiérana filozoficznie, przedstawiłaby żywe zajęcie się szczegółami: naprzykład Ameryka północna. — Sprobujmy.

Jakiekolwiek bądź są uprzedzone przekonania jéj dzieci, i mimo patryotyczne usiłowania Irwing'a i Cooper'a, sztuka słabo jeszcze wkorzeniła się w Ameryce. Ludzie są tam zarazem i nadto doskonali i nadto młodzi w cywilizacyi. Kraj ten przypomina nam owych młodzieńców karnych, poważnych, rozsądnych, rządnych,

żeniących się uczciwie, wiernych swoim małżonkóm, nielekkomyślnych, nierozrzutnych, rachujących korzyści i wydatki gospodarskie, śmiałych tylko w spekulacyach zyskownych, i tam tylko gorliwych, gdzie idzie o powiększenie majątku. Gdyby te piękne przymioty nabywały się z wiekiem dojrzałym, znalazłoby się jeszcze miejsce na rozważanie młodości, i serce przypominałoby, że kiedyś biło gwałtownie. Lecz w dziewiętnastym roku poddaj człowieka pod te ostre prawidła, przesięknij go cnotami zyskownémi i kupieckiémi, postaw tę tamę surowego rozsądku naprzeciw potoku namiętności pożerczych, lecz i użyźniających zarazem: a ujrzysz go przekraczającego jednym skokiem całą moralną przestrzeń, rozdzielającą młodość od dojrzałego wieku; będzie on człowiekiem doskonałym, nie będąc piérwéj człowiekiem młodym. Kwitnienie poezyi zwiędnieje przed swém rozwinięciem się. Zostawszy bogatym, probuje on uczyć się rysować, malować, lub śpiéwać, a talent jego nigdy się nad zimne

naśladowanie nie wznosi. Powtarzać on będzie przed nauczycielem lekcye tak, jak utrzymywał rachunkowe księgi, to jest, ze ścisłą i sumienną dokładnością. Braknie zapewne temu charakterowi blasku, lecz zdolnym on jest za to do szlachetności wytrwania i wielkich przedsięwzięć w sferze, jaka mu jest wyznaczona. Genjusz amerykański, w przemysłowych przedsięwzięciach, idzie na wyścigi z największych narodów genjuszem, i często go przewyższa. Bez równego, a nawet bez wzoru, w tém co można nazwać zasadą piérwiastkowéj cywilizacyi: w handlu, rolnictwie, żegludze, karczowaniu ziemi, zakładaniu miast, a nawet pod pewnémi względami w utworzeniu społeczności, jeszcze w kolebce; z drugiéj strony mało on okazuje wyobraźni i gruntowności. W probach swych wymowy i poezyi wzniósł się on tylko do dość czystego wyrażenia uczuć religijnych, które w wysokim posiada stopniu i które jedyną fantastyczną część jego bytu stanowią. Sam nawet Cooper, piérwszy z ich pisarzy,

dopiął swego wiernèm tylko malowaniem zwycięztw Amerykanów nad martwèm przyrodzeniem, nad oceanem, rzekami, lasami. Jest on oryginalny; albowiem piérwszy zrobił romans z *osadnika stérnika*, człowieka trzebiącego lasy i t. p., ludzi zaiste czynnych i dzielnych, wartych pędzla malarskiego.

Co do innych pisarzy tego kraju, tym niewolnicze naśladowanie angielskich autorów, niszczy całą oryginalność. Liczba ich, ile wiémy, dość jest znaczna. Ponieważ Amerykanie są bogaci i uważają siebie na równi ze swoimi braćmi europejskimi i swoimi przodkami z Wielkiéj-Brytanii, starają się zatèm o użycie wszelkich roskoszy, do których bogactwa nadają im prawo, a które narody zestarzałe w cywilizacyi wraz z występkami posiadają. Od dawna już ma Ameryka swoich muzyków, malarzy, snycerzy, aktorów i autorów dramatycznych. To wszystko było tylko odbiciem się Europy, cieniem naszych roskoszy i naszego smaku. Kiedy niekiedy przybywał do nich muzyk

z Rzymu lub Florencyi; tancerka opuszczała operę Paryża lub Neapolu i śpieszyła rozwinąć lekki wdzięk roskosznych kroków przed purytańską powagą handlarzy Nowego-Yorku. Wszystko to zgoła nie stanowi sztuki właściwie należnéj Amerykanóm. Obyczaje ich i zwyczaje usuwają od nich sztukę dramatyczną. Nie zapomnieli oni jeszcze podań swoich przodków, tych straszliwych purytanów, wiodących ciężką wojnę z teatralnémi zabawami.

Ciekawą jest wszelako bardzo historya teatru i aktorów w Ameryce. Jest coś tak zajmującego i tak szczególnego w przenicowaniu obyczajów amerykańskich i zwyczajów dramatycznych. Przebieżmy szybko te dzieje, gdzie się znajdują czyny godne pióra Scarron'a, a których wszystkie szczegóły i wszystkie daty chronologiczne P. Dunlap, weteran dramatycznych amerykańskich autorów, ze skrzętną dokładnością opisał, nie zajmując się zgoła częścią naukową, moralną lub malowniczą, kréślonych przez się wspomnień.

W połowie ośmnastego wieku, angielskie kolonije, w północnéj Ameryce, nie znały teatru. Siłą przemysłu i pracy doszły do dobrego bytu, i wkrótce ceną krwi swojéj zaczęli dobijać się niepodległości, jedynie mogącéj opiekować się ich przemysłem. Była to jedna z najświetniejszych epok, nie teatru angielskiego branego dosłownie, lecz sztuki scenicznéj w Anglii. G a r r i c k stanął na najwyższym stopniu swójéj sławy i swojéj pomyślności. Przykład jego obudził wiele miłości własnych: wznaszano teatra; młodzi aktorowie doświadczali się, tysiące przedsiębierców bankrutowało, tysiące nadziei było zawiedzionych.

Wilhelm H a l l a m, brat admirała H a l l a m'a i dyrektor teatru w *Goodman's-fields*, zbankrutowawszy, postanowił popłynąć do Ameryki i tam założyć scenę. Piérwszym on był z teatralnych przedsiębierców, szukających szczęścia w Zjednoczonych-Stanach. Obaczymy poźniéj, iż jednymże powodóm, to jest ubóztwu i potrzebie posłu-

szną była większa część aktorów i artystów, przebywających wody Atlantyku, dla ucywilizowania Ameryki północnéj. Namiętności, nierozsądne postępki, mylne rachuby, zawiedzione spekulacye, zanadto natrętni wierzyciele, mężowie lub bracia kwaśnego humoru, prześladowania sądowe lub kartowe długi, pędziły tłumy tych awanturników z najświetniejszych stolic Europy do nieznanéj Ameryki. Nie było więc trudném i Hallam'owi zebrać pewnéj ilości takich istot, którym Europa, jako zostającym pod strażą, była uciążliwą. Wsiedli oni na *Charmante-Sally*; a nazwanie to statku, niosącego awanturniczą trupę, było, trzeba wyznać, dość zgodne z przeznaczeniem żeglującego orszaku. Żaden z aktorów żadnéj nie umiał roli; cały ciąg przeprawy poświęcony był nauce i powtarzaniom. Nakoniec około połowy Sierpnia 1752, trupa wylądowała w Wirginii w przystani *York-Town*. Wirginczykowie należeli do anglikańskiego kościoła, spodziewano się zatém, iż lepiéj przyjmą naszych aktorów,

jak presbiteryanie, w innych kantonach zamieszkali. I w rzeczy saméj, ubodzy tułacze, przybywający jak Thespis na swoim wózku, przedstawiacze osadnikóm Ameryki arcy-dzieł Szekspir'a, byli przyjęci z zachęcającą życzliwością. Dozwolono dyrektorowi obrócić na teatr budowę podłużną, opuszczoną i zruynowaną, leżącą na końcu miasta, a którą przedsiębierca swoim kosztem naprawić musiał. Była to jedna z piérwszych budowli, postawionych przy zakładaniu miasta, a któréj nikt, z przyczyny zbytniego odosobnienia, zamieszkać nie chciał. Tylne drzwi tego gmachu wychodziły do lasu; okoliczność bardzo sprzyjająca gastronomicznym interesóm Hallam'a, który nie będąc bogatym, ucząc się roli, strzelał gołębie na swoje przeżycie.

Nierozsądnie bardzo postąpiliby nasi szukacze przygód i losu, osiadając w mieście *Massachusset*, którego mieszkańcy wierni zasadóm swych przodków, i nauce Hampden'a, serdecznie nienawidzieli teatru, uważając go za wynalazek szatański. W 1750,

przed odjazdem **Hallam'a**, kilku z młodzieży w Bostonie zebrało się do kawiarni dla przedstawienia tamże tragedyi **Otway'a**, pod tytułem *Sierota*. W około kawiarni powstał rozruch, a izba sądowa w *Massachusset* mniemała się bydź w obowiązku wzbronienia na przyszłość wszelkiego rodzaju przedstawień teatralnych, jako dążących na zgubę Religii, zachętę złych obyczajów, narażających obywateli na wydatki niepotrzebne i przesadzone, oraz mogących zniszczyć pomiędzy nimi zasady porządku i skrzętności. «Ktokolwiek (dodaje ciekawy ten akt nietolerancyi i purytańskiéj surowości) da się uwieśdź nadzieją zysku, i postanowi sobie, czy to mieć udział w przedstawieniu teatralném, czy w najęciu nań mieszkania, zapłaci kary pieniężnéj 20 f. st., któréj połowa jedna należeć będzie donosicielowi, a druga wpłynie do skarbu narodowego.» Ujrzymy poźniéj powstającą walkę między témi surowémi przepisami a sztuką dramatyczną, wiernie w wyroku magistratu bostońskiego wyrażoną.

Wróćmy do naszych wędrujących aktorów. Powodziło się im nieźle w *Williamsburgh'u*; a jednak tam ustalone znali powszechnie przesądy Amerykanów przeciw ich stanowi, iż się starali u rządu prowincyi o list świadczący, że ich prowadzenie się, *chociaż aktorów*, było nienaganne, i że zasługiwali na opiekę ludzi majętnych. Długo się po wsiach i miastach wałęsali, i już to sklepienia gumien odbijały użalania się Hamlet'a, już to powtarzali swoje role na statkach unoszonych falami wielkich rzek amerykańskich. W 1752 r. zbudowali oni naprzód mały teatr w *Annapolis*, a poźniéj w Nowym-Yorku.

Kwakrowie Filadelfii, wierni zarówno surowemu ubiorowi jak i zasadóm swoich przodków, ze zgrozą spoglądali na wprowadzenie teatru, mającego za obrońców rycerzy Karola I i II, a za przeciwników Kromwellistów i zwolenników Pym'a. Przeciwnie Nowy-York był starą holenderską koloniją, obcą wszelkim przesądóm i zadowolnioną z możności zapomnienia wieczo-

rem w teatrze, trosk i zmartwień handlu. Pomyślny zatém skutek uwieńczył tam przedsięwzięcie Hallam'a. Stosunki między publicznością i aktorami były jeszcze niewinne i szczére, jak o tém przekonywa następny dopisek, umieszczony u spodu afisza, z daty 20 Listopada 1752.

«Panowie i Panie, mający zamiar zaszczycić nasz teatr swoją obecnością, raczą obiadować i kończyć swoje zatrudnienia nieco wcześniéj, jak zazwyczaj, a to, aby się mogli znajdować na otwarciu kortyny, o saméj szóstéj nastąpić mającém. Rozpoczynać poźniéj nie możemy, gdyż wracać do domów o dziesiątéj będzie bardzo niewygodnie.»

W roku 1754 okazał się pewny rodzaj rewolucyi w obyczajach mieszkańców Filadelfii; ubiory różnych kolorów zjawiły się na ulicach miasta. Do tego czasu kolor kasztanowato-brunatny stanowił jedyne ubranie pospólstwa. Śmielsi poczęli okazywać się w żółtych kamizelkach i błękitnych spodniach. Wielu Kwakrów, po przeczy

taniu Szekspira, uczuło chęć widzenia jego arcy-dzieł przedstawionych na scenie. Jeden z nich wysłanym został w poselstwie do dyrektora Hallam'a; inni rozpoczęli układy z rządcą Hamilton'em. Powstały spory, oppozycye i kontr-oppozycye. Ogłaszano broszurki, i nakoniec po długiéj zawiłéj dyplomacyi, uzyskano od rządu stanowcze upoważnienie, dozwalające dwudziestu cztérech przedstawień, z wyraźném zastrzeżeniem nieużywania słów, lub dopuszczania się jestów, mających dwuwykładne znaczenie, tudzież dostarczenia poręki za wszystkie zaciągnąć się mogące, przez sceniczne towarzystwo, długi. Nieufność mówiąca wiele, a niepotrzebująca wykładu.

Spory i po otwarciu teatru nie ustawały, a wielka liczba szpargałów, dzisiaj już zapomnianych, broniła lub napastowała moralność teologiczną i wpływ pomyślny lub nieszczęsny teatru na obyczaje; sprzeczki bezużyteczne, często wznawiane, a które nie przeszkadzały nikomu zabawiać się w teatrze, poklaskiwać dobremu aktorowi

i na scenie szukać nie nauki duchownéj, lecz przyjemności. Po skończonych 24 przedstawieniach, trupa Hallam'a udała się do Indyj-Zachodnich, gdzie znajdując mieszkańców mniéj szkrupulatnych i mniéj nieprzyjaznych, los sobie zrobiła. Douglas, następca Hallam'a, nie rozważając, że Filadelfijczykowie tolerowali tylko, nie upoważniając stanowczo obecności aktorów, wybudował teatr, a w chwili, gdy miał go otworzyć, wyszedł wyrok zabraniający. Zwyciężenie tylu przeszkód kosztowało wiele pracy i starań. Usiłował on wykręcić się od prawa, nadając swemu przedsiębierstwu śmieszną nazwę *Akademii Histrjonicznéj*. Po wielu nakoniec staraniach, zabiegach i prośbach, otrzymał, wreszcie, pozwolenie na danie trzynastu przedstawień w Filadelfii.

Przesądy jednak wszystkie nie były zwalczone, i aż do 1761 aktorowie cechowani zawsze tém samém piętnem, wiedli życie tułacze. *New-Port*, zamieszkany przez kupców z niewolników, odznaczyło się gwałtownością swego sprzeciwieństwa i za-

jadłością swéj nienawiści. Naprożno aktorowie drukowali po dziennikach świadectwa, mające przekonać, że regularnie opłacają długi, że każdéj niedzieli uczęszczają do kościoła, że prowadzą się rządnie i uczciwie; a wkońcu otrzymali tylko tymczasowe pozwolenie grania w teatrze dwa razy na tydzień, przez dwa miesiące. Nieprzyjaciele ich usiłowali dowieśdź, że oni wydzierają obywatelóm owoc rządności i wypróżniają kieszenie dobrego miasta *New-Port*: dowód zdolny mieć wiele wpływu na mieszkańców oszczędnych, zajętych zyskiem i handlem. Teatr ten jednak był bardzo biédnym; oświecenie sceny kosztowało tylko 2 f. st. (80 zł. p.)

Pozostało nam kilka szczególnych dokumentów o obyczajach tamtéj epoki. Dyrektor, tak jak i teraz, za pomocą afiszów, wchodził w stosunki z publicznością, zanosił do niéj prośby, czynił swoje uwagi. U spodu afisza z 1761 czytamy następne słowa:

«Ponieważ znaczna liczba osób odwie-

dza kulisy i utrudza aktoróm oddanie się zupełne ich obowiązkowi, upraszamy zatém pokornie panów życzących mieć tę powolność, aby raczyli kupować osobno na to przeznaczone bilety. Uznaliśmy przy tém za przyzwoitą nie posyłać na przyszłość afiszów do przedniejszych obywateli miasta, z obawy, aby ta natrętność nie stała się im uciążliwą.»

Widoczną jest rzeczą, że Filadelfijczykowie byli jeszcze za nadto młodzi dla teatru; trupa bowiem Douglas'a rychło poszła za przykładem Hallam'a, i popłynęła do Jamajki. Zaledwie w 1764 nierozsądne postępowanie Anglików, zasiało w kolonijach amerykańskich ziarno wojen domowych, gdy pospólstwo rzuciło się na pusty teatr, niszcząc go ze szczętem. W rozumieniu tych starych kromwellistowskich republikanów, umiejętność łączyła się zawsze z wyobrażeniem dawnego ich stanu; a co mówił *aktor*, mówił *stronnik króla*.

Przytłumione w samém powstaniu piérwsze te zamieszki, poprzedniczki wielkich

burz rewolucyjnych, zaledwie w 1767 dozwoliły aktoróm otworzyć scenę. Cztérnastego grudnia 9 Indyan, wodzów narodu *Szerokezów*, przybyło oglądać przedstawienia *Ryszarda III* i *Błędów Arlekina*: a nie przestając na roli widzów, zostali aktorami. Przytoczymy tu afisz:

«Wodzowie dzikich (powiada on) chcąc okazać białym swoim braciöm wdzięczność za tyle dowodów cywilizacyi i życzliwości im świadczonych; zamierzają sobie wykonać na scenie *narodowy taniec wojenny*. Spodziewamy się, że nikt nie zapomni i nie przestąpi pra v przyzwoitości, stanowiących zasadę wszystkich publicznych zgromadzeń, i każdy raczy pamiętać, że osoby zezwalające na wystąpienie na naszéj scenie, są z klassy najznakomitszéj swojego narodu.»

Nigdy zapewne cywilizacya i nieokrzesanie w spotkaniu się swojém nie starły się tak zabawnie.

Przestawano już jednak wyklinać teatr, gdy rewolucya wybuchnęła. Jedną z piér-

wszych czynności kongressu, było zakazanie wszelkich scenicznych przedstawień, jak również skassowanie domów gry, walk kogucich i teatrów. Nowy dyrektor Wignell pośpieszył z opuszczeniem tego kraju, sposobiącego się do reformy, lecz źle ją dla interesu sztuki pojmującego: na wzór swych poprzedników, szukał schronienia w Indyach Zachodnich, a złoto osadników i negrów pocieszyło go rychło. Przypadek zrządził, że Bourgoyne, jeden z jenerałów przeznaczonych na poskromienie amerykańskiego buntu, namiętnie lubił teatr, i sam jako niezły dramatyczny autor się odznaczał. Podczas wojny, prowadzonéj przez Dżankies'ów z uporem niespodzianym, chwile swobodne odpoczynku Bourgoyne poświęcał scenie, i sztab główny na dramatyczną trupę zamieniał. Autor *Dziedziczki*, najlepszej komedyi tegoczesnego angielskiego teatru, Bourgoyne przedstawiał ją w Bostonie, gdzie go Amerykanie oblężonego trzymali. Naprędce napisał także farsę, pod tytułem *Oblężenie Bostonu*, mającą za

cel wyszydzenie nieprzyjaciół. Lecz na przekor dowcipowi i wojennym talentóm jego, naśmiewacze wyśmiani zostali przez Amerykanów.

Ciekawą było rzeczą, powiadał mi mój ojciec, widzieć parter i loże tego małego wojennego teatru: błękitna katanka majtka jaśniała obok austryackiéj czapki, zakończonéj lśniącą miedzianą blachą, noszonéj przez Hesseńczyków: tu długie czarne wąsy sprzecznie odbijały się od naperfumowanéj i upudrowanéj fryzury: tam harcap dochodził bioder: ówdzie żołnierz w błękitnym uniformie, okryty cały skórzanémi pasami, utrzymującémi bagnet, ładownicę i długą szpadę z miedzianą rękojeścią: tam biała kamizelka spadająca do kolan i żółte spodnie łączyły się z ogromną parą czarnych kamaszów; daléj pstra czapeczka górala szkockiego, krótka trójkolorowa spodniczka, nagie kolana, nogi ozdobione staroświeckiemi ciżmami, tyle rodzajów broni zawieszonych u jego pasa, otaczało go jak wałem; daléj jeszcze oficer w czérwonéj sukni; gre-

nadyer Anspach'ski w wysokiéj spiczastéj czapce i posępnym ubiorze; ówdzie Waldecker w trójkończatym kapeluszu, żółtą obwiedzionym frendzlą; nakoniec niemiecki strzelec w swojém malowniczém ubraniu i z kordelasem u pasa. Prawdziwe automaty, na teatrze zachowywali się jak na paradzie: autor i aktorowie dobrotliwszéj nie mogli żądać publiczności.

Farsa, o któréj wyżéj mówiliśmy, zaledwie się rozpoczęła, kiedy kapral wychodząc zza kulisy na scenę, stanął wpośrzód aktorów i zawołał: «Buntowniey attakują nasze linije.» Gra kaprala zupełnie była naturalną, czystą bowiem donosił prawdę; lecz słuchacze rozumiejąc, że tak wypada ze sztuki, omylili się i zaczęli poklaskiwać. Rozgniewany kapral, zbliżając się więcéj do poręczy: «Dla Boga, rzecze, nie ma czemu poklaskiwać, ja nie żartuję, wojska nasze ustępują.» Nowe pokłaski parteru uradowanego z żartu, który przypisują kapralowi. Nowy gniew kaprala, który już nie trwożąc się obecnością P. Bourgoyne,

zawołał głośno: «Niebaczni, tu nie ma żadnego żartu, pytajcie się jenerała!» Wchodzący w tę chwilę do loży jenerała oficer potwierdził nowinę, i wszytkich z błędu wyprowadził. Bębny zabrzmiały trwogę i przedstawienie przerwane zostało. Bostończykowie odebrali swoje miasto, zniszczyli bronzowy posąg Jerzego III, przelewając go na działowe kule, i wypędzili Burgoyne'go, który zajął Nowy-York i tam główną swoję kwaterę wraz z teatrem założył. W nim kapitan obowiązany był dbać o dekoracye, pułkownik był suflerem, a sławny major André rysował ubiory. Przypominam sobie, żem widział tragedyą Douglas'a przedstawianą przez porucznika, dwóch podporuczników i półkowego adjutanta. Na odegranie ról kobiecych wybiérano najmłodszych oficerów. Zdaje się, że jakieś dziwne przeznaczenie zachowane było dla tragedyi Douglas'a, dobiérając do niéj szczególnych aktorów. Kilka lat temu nazad, graną ona była w Edymburgu przez niemniéj osobliwą trupę. Sławny doktor Blair

przedstawiał rolę Anny, doktor Fergusson lady Randolf: i widziano w tejże saméj sztuce figurujących Robertson'a, Hum'a, historyków, i deistę Monboddo, wszystko poważnych filozofów i grzmiących rozprawiaczy, których brody i pomarszczone czoła dziwną czyniły sprzeczność z platonicznémi mar eniami, zawartémi w téj sztuce, i z namiętnémi narzekaniami, które recytować obowiązali się. Lecz wróćmy do Nowego-Yorku. Najciekawszym afiszem tego teatru ten jest bez wątpienia, u spodu którego jenerał Burgoyne, człowiek bardzo wesoły i żartobliwy, kazał wydrukować następne słowa: «Główną rolę przedstawiać będzie podporucznik Spencer, doskonale znany w wojsku ze swojéj zręczności w grze billardowéj.»

Zaledwie Amerykanie zostali zwycięzcami i rzeczpospolita ugruntowała się, a już Hallam i Wignell przybyli na powrót z Jamajki, usiłowali w sierpniu 1785 otworzyć teatr w Nowym-Yorku. Duch republikański, sprzymierzony z purytanizmem,

wzruszał Amerykę. Uzbrojono się nanowo w nienawiść i surowość przeciw aktoróm, i długie w tym przedmiocie spory zawiązały się w izbie Reprezentantów Pensylwanii. Do przesądów Kalwinistów przeciwko teatrowi, przyłączyło się jeszcze świéże wrażenie, sprawione przez wymowne pisma Rouss'a. Doktor Logan utrzymywał, że teatr jest tylko dla krajów monarchicznych; P. Whitehill, że jest niepodobieństwem wieśdź spory, o ogólnéj niemoralności teatrów; P. Smiley, że piękne sztuki przeszkadzają obywatelóm spełniać obowiązki polityczne; P. Finley, że teatr jest narzędziem samowolności. Robert Moris, jenerał Wayne i wielu innych, zbijali te dowody, a nie bez trudności przeważyli i utrzymali swoje zdanie. Jednakże, jeśli nie zupełnie zabraniano widowisk, nie upoważniano ich zgoła, i aktorowie, którzy się ośmielili otworzyć teatra bez szczegółowego zezwolenia, podlegali pieniężnéj karze. Kazalnice grzmiały przekleçtwem i zniewagą na aktorów, a dzienniki siliły się

na artykuły przyjazne lub przeciwne teatróm. Bardzo zwolna przyzwyczajano się do przedstawień scenicznych. Kilku śmiałych młodzieńców usiłowało naśladować autorów angielskich. Tomasz Godfrey napisał dość nędzną tragedyą, pod tytułem: *Książę Partów*, i ta była drukowaną; Barnabasz Bidwell przedstawiał także swoj dramat: *Najemnicze małżeństwo*, najkomiczniejszą bez wątpienia ze wszystkich komedyj, które kiedykolwiek były drukowane. Pamiętają jeszcze o wrażeniu, jakie sprawił wiérsz następny, axioma pewne i nienabawiające kłopotu autora:

Po dniu noc, a po nocy dzień jasny nastaje.

Cała sztuka podobnego rodzaju prawdami była zapełnioną. Nakoniec 16 Maja 1786 aktorowie Nowego-Yorku przedstawili piérwszą komedyą: *Sprzeczność*, napisaną przez Amerykanina Royal'a Tyler, dawnego oficera, autora także romansu: *Więźnie Algierscy* i innéj komedyi: *Dzień majowy*. *Sprzeczność* jest sztuką dość słabą, zasłu-

gującą jednak na wspomnienie, jako piérwotwór. Tenże sam Tyler wymyślił rolę Jonathan'a, zabawne uosobnienie Amerykanina w ogólności, *John-Bull'a* Stanów-Zjednoczonych. Ukazał się on po raz piérwszy w sztuce *Sprzeczność* z mową handlarską, przywiązaniem do wygód i dzielną niezawisłością, któréj bronił tak potężnie. Dobry lud Nowego-Yorku zdawał się siebie poznawać, i bardzo poklaskiwał poświęconéj mu karykaturze. Powodowany uczuciem szlachetném, nie mógł cierpieć nędznéj parodyi zwyczajów i obyczajów francuzkich, obficie rozsiewanéj po wszystkich prawie dramatach angielskich. Francuz przedstawiany w sztukach pisanych, dla zadowolnienia pospolitych przesądów lub głupiéj zawziętości, jest zawsze tancerzem, kucharzem lub markizem upudrowanym, mającym kieskę i harcap, sadzącym frazesami i ogromnym tchórzem. Francuzi byli sprzymierzeńcami Amerykanów; publiczność zatém Nowego-Yorku nie chciała, aby szydzono z nich na scenie, i niemiłosiernie wygwi-

zdywała wszystkie sztuki, gdzie się niezbędny markiz znajdował. Z tego powodu było kilka zamieszek, kilka szyb stłuczonych, i aktorowie poznali się wreszcie na przestrodze.

Zawsze się jednak z nimi bez tolerancyi i wzgardliwie obchodzono. Jeden z nich, mający podagrę i dyrekcyą jakiegoś wydziału, bez szczudeł chodzić nie mógł. Nazywał się Henri. Dla przybycia więc ze swego mieszkania do teatru, używał pojazdu tak małego, iż był podobny do skrzynki, ciągniętéj przez małego konia. Obawiał się jednak, aby ten pojazd, jakkolwiek skromny, nie obraził surowych zasad i kupieckiéj dumy mieszkańców Nowego-Yorku. Na drzwiczkach więc téj karety czy skrzynki, wymalować kazał nakształt herbu dwa szczudła na krzyż, z tym napisem:

Kareta lub szczudło!

W 1789 żyjący jeszcze P. Dunlap weteran sztuki dramatycznéj amerykańskiéj, autor trzydziestu z górą dramatów, mało

znanych na lądzie stałym, lecz przedstawianych na wielu teatrach w Ameryce, wydał piérwsze swoje dzieło, pod tytułem: *Jedynaczka.* Jeśli to dzieło nie jest wybornym dramatem, rzecz przynajmniéj ma dobrą i przypadającą do smaku Amerykanóm, bo im wraża wstręt ku ich nieprzyjaciołóm Anglikóm. Pomyślny skutek uwieńczył to dzieło. Duch narodowości, który nie osłabiał w Ameryce, był wówczas w całéj swojéj sile; nie należy się zatém dziwić, że piérwsze proby narodowéj muzy, przedstawiają interes zupełnie miejscowy, i że piérwsi aktorowie Nowego-Yorku i Filadelfii, nie byli ni Kembl'ami, ani Kean'ami. Wiecznie pamiętać będę, żem widział rolę *Romeo*, przedstawianą przez młodego rzeźnika, świeżo rzucającego jatki. Trzeba go było słyszeć jak wymawiał oświadczenia miłości, i piękny czuły wiérsz Szekspira:

Jaka jest moja miłość, Juljo! duszo moja!
przemieniającego na koncept wiejski:

O jak ja ciebie czcić będę, Juljo moja kokoszko!

Chociaż Amerykanie pobłażali bardzo biédnym aktoróm, niemiłosiernie jednak wygwizdali rzeźnika. W krótkim czasie, dano na teatrze Nowego-Yorku tłumaczenie *Wdowy z Malabaru* Lemier'a. W prologu, który sądził bydź dowcipnym, zachciało się tłumaczowi odnowić zestarzałe żarty względem małżeństw. Porównał małżeństwo do fatalnego stosu, na którym żony indyjskie, po śmierci swoich mężów, ginąć muszą, i zakończył swoje epigramma następnym wiérszem:

Z dwóch kaźni, żona lepsza.

Amerykanie nie lubili żartów w téj materyi; kilka kobiet dało znak zamieszania, i póty nie zgodzono się na rozpoczęcie sztuki, nim przywołany autor sutéj pieniężnéj kary nie opłacił.

Nie widzę potrzeby opowiadania tutaj wszystkich drobnych szczegółów historyi sztuki dramatycznéj w Stanach-Zjednoczonych; przedaże teatrów, sprzeczki dyrektorów, prześladowania wierzycieli, intrygi za kulisami prowadzone, są to wszystko szcze-

góły mało nas obchodzące, a opisaniem których, sumienny Amerykanin całyby tom *in octavo* zapełnił. W miarę jak związek federalny postępował w cywilizacyi, Europa posyłała mu swoich aktorów; między innymi jednego zowiącego się Meadowcraft, sławnego poźniéj w Ameryce pod imieniem Hodgkinson'a. Rozpoczął on swój zawód od chłopca w gospodzie, poźniéj był skoczkiem. W ośmnastym roku życia użyty został do ucierania świec w teatrze bristolskim. Przyrodzenie obdarzyło go nadzwyczajną pamięcią i pięknym głosem. Aby się nauczyć roli, dość mu było raz ją odczytać. Powołanie jego prędko się ustaliło. Aktor, śpiewak, człowiek dowcipny, pośpieszył do Ameryki szukać uśmiéchającego się doń losu. Pewnego dnia, układając afisze mających się przedstawiać sztuk i ich autorów, zapomniał nazwiska tego, który napisał małą sztuczkę, pod tytułem *Modny ton w kuchni* (1). Po tytule więc téj sztuki

---

1) *High life below stairs*, p. Garrick'a.

położył następne oznaczenie: *Anon.*, co znaczy *anonyme* bezimienny. Amerykanie mało jeszcze byli biegli w sztuce dramatycznéj. «Jaki to jest autor, zapytał go sędzia Cosine, którego nazywacie *Anon.*?» — «Jest to jeden z naszych piérwszych poetów, z najzimniejszą krwią odpowiedział Hodgkinson;» i jął się rozwodzić z bijografiją wielkiego poety *Anon.*

Wszyscy zarówno pamiętać jeszcze muszą i Prigmor'a, który z nimże razem przybył do Ameryki, a szczególniejsze miał przekonanie, że wszystkie kobiety w nim są zakochane. Biédny ten człowiek miał spodnie jedwabne, mocno połatane, i te natchnęły uczuciem politowania dobrą jakąś wdowę w Baltimorze. Wynalazła więc w garderobie swojego męża przystojną dość jeszcze suknią, i udała się do teatru z oświadczeniem chęci widzenia się z Prigmor'em. Wdowa była bogatą i nieszpetną. Gdy nazajutrz nasz galant dowiedział się o tych odwiedzinach, i gdy odebrał zapraszające pismo od wdowy W*** na godzinę

jedénastą, nie wątpił, że miłość zrobi jemu szczęście. Ubrany, upudrowany, jaśniejący niechybném zwycięztwem, udaje się do wdowy. Siadają, rozmawiają: Prigmor jest ujmującym; lecz po półgodzinie rozmowy wdowa dzwoni; wchodzi służąca: «Rachelo, przynieś to, com przeznaczyła dla Jegomości.» Sądźcież jakie bydź musiało zadziwienie naszego bohatyra.

Łatwo więc z tego wnieść można, z jakiém upokorzeniem i jak pogardliwie uważani byli aktorowie przez Amerykanów. Zmuszeni byli odznaczać się śmiesznością swoich ubiorów, tak prawie, jak nasi tancerze miejsc publicznych, lub szarlatani w swoich powozach zwracają uwagę najdziwaczniejszém ubraniem. Jeden nosił masztalerskie bóty i krótkie spodnie, drugi kapelusz ozdobiony trzema galonami; sam nawet Hodgkinson używał fryzury i peruki markizowskiéj, z czasów Ludwika XIV, wpośrzód trefionych włosów *à la Titus* i czarnych sukień handlarzy amerykańskich. Nie rzadko bywało, że jakiś awanturnik,

wypchnięty z naszego starego lądu, zjawiał się na teatrach Ameryki. Widziano nawet na afiszach Nowego-Yorku, potomka jednéj z najszlachetniejszych rodzin Irlandyi. Sir Rychard Crosby, niegdyś właściciel pięknego zamku na wyspie Erin, poświęciwszy gastronomicznym skłonnościóm dobra spadłe nań z dziadów, zaczął sporządzać balon, i chcąc przebydź kanał (*la Manche*), wpadł razemże ze swoim aerostatem w morze. Wyrzuconego na brzeg rybacy znaleźli i dali mu przytułek; lecz ścigany przez wierzycieli, pośpieszył do Ameryki, gdzie niekształtna postawa, brzuch wydęty i długie pająeze nogi, nie przeszkadzały mu do odegrywania ról bohatyrów i do dobrego powodzenia.

Przygody życia, większéj części ludzi utalentowanych lub ludzi miernych szukających schronienia na teatrze amerykańskim, często dziwny i osobliwy przedstawiają romans. Weźmijmy na przykład Karola Ciceri urodzonego w Medyolanie, a którego jeden z wujów zawiózł do Paryża na wychowanie. Strudzony surowością wujowską,

ujechał do Florencyi, został chłopcem piekarskim, znudzony swoim stanem wrócił do Paryża, zaciągnął się do wojska, służył przez trzy lata w kawaleryi, dezerterował, zaciągnął się znowu na statek przeznaczony do Sę-Domingo, i tam w chwilach wolnych zamyślił zostać malarzem dekoracyi. Dotychczas pędzel nie postał w jego ręku, lecz przyrodzenie obdarzyło go szczęśliwie. Zarobił cokolwiek pieniędzy, wziął zupełną odstawkę, prowadził handel niewolnikami, wrócił do Paryża i do Bordó, zgłębiał naukowie sztukę, do któréj miał skłonność, zabawił czas jakiś w Londynie, gdzie robił dekoracye dla teatru opery, rozpoczął nanowo handlarskie swoje spekulacye, i z Jamajki udał się do Filadelfii. Z powodu tak nadzwyczajnéj czynności, wystawiony był na wielkie niebezpieczeństwa. Okręt, na którym płynął z zebranémi pieniędzmi, rozbił się. Morze wyrzuciło go nagiego na skały *Bahamas*; rybak znalazłszy leżącego na brzegu zaprowadził do miasta Opatrzności, gdzie dano mu pomoc. «Co umiesz robić? zapytano go,

gdy przyszedł do siebie. Jestem malarzem, odpowiedział. Dobrze więc, będziesz robił portrety.» Otoż malarz dekoracyj, który dotąd same tylko bazgrał drzewa, i nie mógł skreślić regularnego owalu, zmuszony jest malować miniatury. Wykręcił się jak można z tego trudnego położenia, znalazłszy sposób wrócenia do Filadelfii, gdzie jego talent pogodził go poraz trzeci z majątkiem, tyle razy traconym i uzyskiwanym. Ze wszystkich romansów, najinteressowniejsze i najrozmaitsze są te bezwątpienia, których nikt nie pisze. Położenie aktorów, z przyczyny niewiadomości i przesądów Amerykanów wielekroć było bardzo przykre. Widok czérwonego uniformu pobudzał ich do gwałtownego gniewu, chociaż w sztuce rola oficera angielskiego była śmieszną i ohydną: «Precz z suknią czérwoną, precz z Anglikami! wołali słuchacze. — Ale, moi panowie, rzecze aktor, chcąc się układać z publicznością, zważcie, że rola którą przedstawiam, jest rola człowieka podłego i oszusta; pozwólcie mu więc bydź Anglikiem. Nie, nie, wołała

publiczność, jakkolwiek on jest zawsze głupim i nieznośnym, nie chcemy widzieć tego ubrania.» Aktor przywdział uniform amerykański; wówczas zajadłość powiększyła się, wściekano się na rolę nadającą oficerowi ubranemu w strój narodowy uczucia tak śmiészne i nienawistne. Dzienniki brzmiały sporami niemniéj nierozsądnémi; tyle trzeba mieć zaufania w zdrowym rozsądku narodów najspokojniejszych i najsłuszniejszych z powierzchowności! W 1793 występowała po raz piérwszy w Filadelfii mistriss Oldmixon inaczéj miss Georges, aktorka obdarzona talentem wyższym od wszystkich współzawodniczek jawiących się dotąd w Ameryce. Historyja jéj, i jéj męża zasługuje na przywiedzenie.

Sir John Oldmixon na końcu ośmnastego wieku, władał berłem mody. On to panował w Bath, on dawał wzory w zawiązywaniu na szyi chustek, trefieniu włosów, sposobie chodzenia. Aktorowie przyjeżdżali do Bath podziwiać i naśladować Sir John'a. We wszystkich komedyach, gdzie

fanfaron występował na scenę paradjowano jego słowa i poruszenia. Jednego rana spotkawszy aktora który wieczorem dnia zeszłego przedstawiał jego karykaturę, rzekł mu: «To było nie źle, mój przyjacielu, ale ci brakło trzech puklów z lewéj strony; przyjdź do mnie, a ja ci to urządzę.»

Majątek jego dość znaczny rozszedł się i zniknął w rękach fryzyerów i kramarzy modnych. Miss Georges była wówczas modną garderobianą; on ją zaślubił, i wkrótce szczupłe mienie, jakie uzbiérała pochłonęła taż sama przepaść, która pierwéj dziedzictwo jego pożarła. Ścigany przez wierzycieli, musiał z żoną uciekać do Ameryki; a baronet został ogrodnikiem i uprawiał jarzyny na przedmieściach Filadelfii. «Jedna z osobliwości téj epoki, powiada dziennik z 1786, jest widzieć kwiat ugrzecznienia i elegancyi europejskiéj Sir John'a Oldmixon'a, w małym wózku ciągnionym przez osła, a który zarazem zawiéra jego kapusty, marchwie i żonę ubraną jak heroina tragedyi.» Niedługo on się trzymał ogrodniczego życia: pewna

młoda niedoświadczona piękność usłuchała pochlebczych rozmów baroneta. Sir John uwiózł ją i używał przez pewny czas jéj mienia (była to bowiém bogata dziedziczka), nakoniec zaś stracił je i zmarnował jak i majątek miss Georges. Zmarszczki już pokrywały twarz naszego wierci-pięty, gdy ten ostatni uśmiéch szczęścia przekonał go, że cała jego potęga nie była jeszcze straconą. Wyznać należy, iż nikt w Ameryce z większym wdziękiem nie otwiérał i nie zamykał tabakierki.

Ciągnijmy daléj romansowe dzieje aktorów amerykańskich. Pollard, znany pod przybraném imieniem Moreton'a, i sławny w rolach udatnych, zwiedził wszystkie części świata. Urodzony przy wodospadach Niagary, wychowany w Anglii, przybył do Indyj Wschodnich, gdzie czas jakiś pozostał u bankiera w Kalkucie w obowiązku piérwszego pomocnika. Uwiedziony swoją nierostropnością i obietnicami przyjaciela, wziął z kassy bankowéj znaczną summę, którą pożyczył temu ostatniemu, a która zwróconą nie była. Błąd ten zniweczył jego przyszłość:

powrócił do Londynu, gdzie czas jakiś bardzo biédne prowadził życie: poźniéj się zaciągnął do amerykańskiéj trupy Wignell'a. Spotkał się tam z dawnym swoim przyjacielem Fenell'em, prawdziwym Scapin'em, bezwstydnym Figaro, którego zręczność, czy też naganne szalbierstwo, kosztowało wiele uczciwym handlarzóm miast amerykańskich. Jest rzeczą niezawodną, że Fenell był już wprawny w szalbierskiém rzemiośle; przez trzymiesięczny pobyt w Paryżu, uchodził za szkockiego magnata wysokiego urodzenia, i żył sowicie kosztem liwerantów paryzkich. Nikt nad niego nie umiał lepiéj podbudzać chciwości kupieckiéj. Jego wybiegi były nieskończone; już to odkrył kopalnią soli, już był posiadaczem farbierskiego sekretu, prawdziwy filozoficzny kamień dla każdego ktoby go chciał doświadczyć. Człowiek rozsądny, wydający wiele, głowa towarzystw do których uczęszczał, tworzący akcyonistów nie troszcząc się o udziały, a zysk zawsze biorący do kieszeni, nie czekając skutków przedsięwzięcia; był on

od wybrzeży *Chesapeak'u* aż do *Messachusset* przedmiotem ciągłego podziwu i zgorszenia.

Pomimo tych przykładów i dawnych przesądów purytańskiéj ludności przeciwko aktoróm, dramatyczne przedstawienia na pomyślniejszéj stanęły drodze w Stanach-Zjednoczonych. Kilku aktorów utalentowanych przybyło z Europy, a nawet w prowincyach najgorliwszych w zasadach kalwinizmu, powstało wiele głosów sprzyjających grom scenicznym. Część roku 1750 była świadkiem zażartych sporów między obrońcami i przeciwnikami teatru w izbie reprezentantów w *Massachusset*. Ostatni zwyciężyli. Jeden z członków prawodawstwa napisał *ex professo* traktat przeciwko Szekspir'a. Lecz aktorowie nie uważali się za zwyciężonych. Wsparci znaczną liczbą bogatych amatorów, postanowili przekręcić stare prawo purytańskie, i pod nazwaniem *Nowych przedstawień*, śmiało wznieśli prawdziwy teatr. Piérwsze dzieło jakie znajdujemy ogłoszone na afiszach tego nowego teatru,

może dadź jakieś wyobrażenie obyczajów amerykańskich i kultury umysłowéj mieszkańców Stanów-Zjednoczonych, téj epoki. Jest to *Szczotka wieczorna przeznaczona do starcia rdzy melancholii*. Nie rzekną-ż tytuł misteryów lub farsy (*sotie*) cztérnastego wieku?

Wkrótce jednak zarzucono skoki farsy i bachiczne śpiéwki, a zaczęto grać sztuki większe, które przystrajano w tytuł moralnych traktatów. Oto afisz oznajmujący przedstawienie tragedyi *Douglas*: «*Traktat moralny o miłości macierzyńskiéj*, w pięciu częściach, czytany przez PP. etc. etc. etc.» Najniemoralniejszéj angielskiéj sztuce, *a bold stroke for a wife* nadano tytuł *Lekcye moralne o obowiązkach żon i mężów*. *Lekcye niemoralne*, byłoby daleko właściwiéj. *Prawodawcze zwierzchnictwo* sądząc się bydź obrażoném, zakazało przedstawień, uwięziło główniejszych aktorów, i dało tym sposobem przykład, jak rozmaicie można pojmować słowa *wolność* i *rzeczpospolita*. Nareszcie aż w roku 1793, zniesiono ten dekret, i

purytanie w *Massachusset* przestali bydź nieubłaganymi dla teatru.

Dunlap znany już z dość miernego dramatu, napisał *Opactwo w Fontainville*, sztukę mogącą się przedstawiać, i przyjętą dobrze. W 1797 wystawiono nowy teatr w Bostonie. Powielekroć pospólstwo zniechęcone zelżywościami rzucanémi przez dramatycznych angielskich pisarzy na Francuzów jego sprzymierzeńców, powstawało przeciwko tym karykaturóm; i to co nadało wziętość farsom Footégo przy piérwszém ich przedstawieniu w Londynie, stanowiło ich upadek na teatrach amerykańskich. Drugi teatr, na wzór londyńskiego, nazwany *Haymarket*, prędko się zaczął współubiegać z piérwszym, o którego wzniesieniu wyżéj wspomnieliśmy. Wkrótce potém zgiełk, wszystkie drobne intrygi, wszystkie nędze życia kulissowego wprowadziły się do Nowego-Yorku i Filadelfii. Dunlap napisał trzecią tragedyą, którą nażwiemy melodramatem: *Mnich tajemniczy*; przedstawiano także kilka fars naśladowanych z francuzkiego, ja-

koto: *Zamek Bourville* przerobiony przez młodego Amerykanina Lynn'a, i *Bunker-Hill* przez niejakiego Burk'a. Słusznie należy wyznać, że we wszystkich tych dziełach, nie ma najmniejszego śladu dramatycznego talentu. *Bunker-Hill* przedstawiał czyny najświetniejsze amerykańskiego oręża, w sposób dość żywy aby pochlebić narodowéj miłości własnéj. Było tam tyle umarłych i umiérających, rac, bomb, kul i harmat, że pospólstwo oniemiało z zadziwienia i radości: obrzydliwe to dzieło zrobiło majątek dyrektorowi.

Ten ostatni, dumny całą swoją pomyślnością odprawił ulubioną od publiczności aktorkę, i żonę jednego ze swych dramatycznych współzawodników. Aktorka za pośrzednictwem dzienników zapozwała go przed sąd ludu. Wieczorem w chwili gdy dyrektor, będący razem aktorem, wyszedł na scenę dla oddania swéj roli, zadziwiło go powszechne poruszenie na sali. Aktorka niepostrzeżona weszła za nim, ze zwiniętym papierem w ręku i w żałobie: «Miejsce dla

mistriss Hallam, wołano z tłumu, ustąpcie, pozwólcie jéj mówić!» Mnóztwo kijów podniesiono na parterze. Mąż jéj wszedłszy na scenę, wziął żonę za rękę, i przyprowadził do samego brzegu. Ośmielona oklaskami, i krzykiem: «Milczenie, milczenie słuchajmy!» Rozwinęła trzymany papier, i głośno poczęła czytać krzywdy ucierpiane od dyrektora, po czém oddalając się wśrzód oklasków zostawiła tego ostatniego i męża stojących po przeciwnych końcach poręczy, przekładać na przemian swoję sprawę. Była to scena demokratyczna, któréj rozbiór zostawujemy filozofóm podług ich zwyczaju. Zrazu obelgi i gwizdania osypały biédnego dyrektora: nie słuchano go, grożono spaleniem teatru i powieszeniem jego samego; lecz był to człowiek nie w ciemie bity, i w chwili gdy najokropniejsze spadały nań obelgi, on się nachylił ku parterowi i zawołał: «Wszystkim odpowiadać nie mogę; kto z was mię zaczepia? niech choć jeden powstanie, powié swoje nazwisko i oskarża mię! *Precz z dyrektorem!* zawołało wielu.

— Podli kryją się w tłumie, odpowiedział dyrektor; żądam tylko nieprzyjaciela· ten który mówił ostatni! zobaczymy!»

Nikt się nie podniósł.

«A cóż, nikt nie odeźwie się?..

— Na co, ozwał się głos jeden: «pozbawiać publiczność aktorki, którą lubi?»

— «Ty panie, który mówisz, jestżeś publicznością?»

Upor i śmiałość dyrektora zwyciężyły; i mniéj jak w pół godziny, człowiek ten, którego wygwizdano zelżywie, rozpoczął grę swoję wpośrzód oklasków zgromadzenia. Zaufaj proszę, sądom publiczności! W ostatku, wszystkie zaszczyty tego wieczora zostały przy nim, a mistriss Hallam przestała występować na scenę.

Merry, ten założyciel poetycznéj szkoły w Anglii, który pod imieniem *Della Crusca*, chciał wznowić w XIX wieku zestarzały smak włoskich *concettów* — po wyjściu z wojskowéj służby, mieszkał we Włoszech, a poślubiwszy sławną aktorkę, przejechał do Ameryki, gdzie jego żonę z oklaskami przy-

jęto. Ujrzano także wkrótce na scenie Nowego-Yorku Cooper'a ucznia i przyjaciela Godwin'a, któremu nic nie mogło przeszkodzić do zostania aktorem; i Bernarda autora własnéj biografii bardzo zajmującéj, a długi czas dyrektora pięciu czy sześciu małych teatrów, rozrzuconych po wyspach *Jersey*, *Guernesey* i na brzegach Anglii. Warren, Holland, Fox, którym nie brakło na zdolnościach, byli wszyscy dziećmi ślepego losu; ludźmi, którzy zbiegali świat cały, nim się świat zgodził na zrobienie im doli i uniewinnienie ich wykroczeń.

Jeżeli kulissy amerykańskie były zaludnione ludźmi szczególniejszymi, orkiestra też liczyła pomiędzy swymi exekutorami niemniéj osobliwszych gości: jeden, biegły skrzypak, ksiądz katolicki urodzony w Szwajcaryi, osiadły w Hiszpanii, przepędził, jak sam powiadał lat trzy w więzieniach Inkwizycyi; drugi, którego imie w dniach szczęśliwszych upiękniał tytuł markizowski, i którego demokracya francuzka przymusiła szukać schronienia u demokracyi amerykań-

skiéj, był zarazem cukiernikiem i fagocistą; trzeci, ukrywający prawdziwe swe miano, grał na bassetli i wiecznie milczał; czwarty, rodem Pijemontczyk grał na flecie; dawny jeden francuzki pleban był oboistą; Anglik imieniem Young, niegdyś sierżant, poźniéj sługa kościelny, został w końcu artystą na cymbałach. Miał on wiele długów; i w chwili gdy szeryf przyszedł go uwięzić, dobył z kieszeni pistolet i zabił szeryfa. Powieszono go za to.

Te dziwne istnienia, te dusze zużyte wypadkami i występkiem, te osoby daleko nadzwyczajniejsze od osób dramatycznych przedstawianych przez nich, aktorowie pożyczani Stanóm-Zjednoczonym przez Europę, dawali często nowéj swojéj ojczyznie rzeczywiste dramata przerażającéj moralności. Syn jednego urzędnika skarbu w Roszelli, nazwiskiem Gardie, zmarnowawszy młodość, pojechał do Sę-Domingo, gdzie go ojciec obowiązał do prowadzenia jakiejś zyskownéj spekulacyi. Młoda aktorka mieszkająca w mieście *Kap*, podobała mu się, i on

razem z nią wrócił do Roszelli: ojciec odmówił jéj widzenia, zakazał synowi z nią się żenić; lecz nie mógł zniszczyć gwałtownéj namiętności, jaką go natchnęła. Ona ciągle występowała na teatrze; było to w r. 1793. Jednego razu słuchacze chcieli ją przymusić do śpiewania hymnu marsylskiego; czego gdy odmówiła, powstało zamieszanie w teatrze, i pewnoby głową przypłaciła swojego uporu, jeśliby nazajutrz, razem ze swym kochankiem nie wsiadła na okręt i nie odpłynęła do Kap. Powstanie czarnych zmusiło błąkającą się parę uciekać z Sę-Domingo i szukać schronienia w Stanach-Zjednoczonych, gdzie aktorka została przyjęta jako tancerka i mimistka; lecz te zdolności nie wystarczały: Pani Gardie (jak ją nazywano) nie umiała po angielsku. Dyrektor poprzestał wkrótce przedstawiać tańce i pantominy, i cofnął opłacaną P. Gardie gażę. Miała ona z piérwszego kochanka dziecię, które Gardie z ojcowską dobrocią wychowywał; ten ostatni dla przeżycia przepisywał w mieście nóty, i tak walczyli z nędzą.

A ponieważ ojciec tego nieszczęśliwego młodzieńca żył jeszcze, towarzyszka jego przestraszona okropnością nędzy, któréj przepaść otwiérała się przed niémi, błagała go, aby wracał do Francyi i żebrał ojcowskiego przebaczenia. W nowym tym kroku zdało mu się tylko widzieć chęć tajemną pozbycia się go i zerwania dawnych związków. Jak o łaskę prosił jéj, aby mu towarzyszyła, lecz otrzymał tylko stanowcze i uporczywe odmówienie.

Nocy poprzedzającéj przeznaczony dzień do wyjazdu, Gardie spał w izbie najętego domu, położonéj na trzeciém piętrze i zajętéj przez trzy łóżka: jego, jego towarzyszki, i jéj dziecięcia. O północy wstał z pościeli; dziecię się obudziło; on kazał mu milczeć. Wkrótce dziecię usłyszało westchnienie, a poznając głos matki: «Co ci jest moja matko?» zapytało. — «To nic, ona marzy;» odpowiedział Gardie. Poraz trzeci jakieś jęki, łkania, odgłos płaczu, szmer passowania się i upadek ciała, zbudziły biédne dziecię. Poczęło wołać, nie otrzymując zaś

odpowiedzi, wstało z łóżka, a idąc do okna, upadło na leżące na podłodze ciało i uczuło drobne swe ręce zbroczone w lipkim płynie. Przestraszone, wybiegło za drzwi wołając ratunku; nikt nie odpowiedział, pies tylko zawył żałośnie. Wpół martwe od zimna i bojaźni, pozostało na schodach. Nazajutrz rano po wejściu do izby znaleziono Panią Gardie przebitą w samo serce nożem, a przy niéj jéj kochanka z sześciu ranami w piersiach; — już nie żył. Otoż i ich historya.

PP. aktorowie teatru amerykańskiego często byli daleko prostsi, i mniéj poważni. Chalmers aktor dość wzięty, ogłosił razu jednego, że grać będą na jego benefis *Mélocosmiotès*. Ponieważ słowo to samo przez się nic nie oznacza, zebrano się więc gromadnie. Podniesiona kortyna ukazała aktora w zwyczajnym ubiorze siedzącego na krześle i trzymającego książkę. Było to dzieło Addisona, które począł czytać; publiczność zaczęła gwizdać; on powstał, ukłonił się, i znowu czytał. Gwizdanie coraz

mocniejsze, coraz częstsze ukłony; aż nakoniec publiczność zwalczona zimną krwią benefisanta, opuściła teatr, a Chalmers cały przychód zagarnął.

Nie będziemy opisywali wszystkich sztuk krajowych, przedstawianych na teatrach amerykańskich. *Major André* przez Dunlap'a, *Waszyngton* etc. etc., są dzieła pozbawione wszelkiéj znajomości sceny, i wszelkiéj oryginalności. W tymże czasie zrobiono dwa dramata, jeden z *przysięgi federalnéj*, drugi z życia Franklin'a. *Joanna* d'Arc, *Wilhelm* Tell, *Cudzoziemiec* Kocebiuego, uległy z kolei amerykańskiemu okaleczeniu. Dunlap, Scribe Zjednoczonych-Stanów, napisał *Ojca Włocha* i *Maryą Stern*. Wszystkie prawie sztuki francuzkie i niemieckie, mające jakąś wziętość, przebywały Atlantyk; dodawano im *John-Bulla* i *Jonathana*, a publiczność z roskoszą je przyjmowała. W powszechności moralność i ckliwość rozlana w dziełach niemieckich, zgadzały się daleko lepiéj z amerykańskiémi obyczajami, niż satyra angielska, lub uderzająca lekkość francuzkich

wodewillów. Kotzebue odniósł w Ameryce palmę zwycięztwa nad innymi pisarzami tejże saméj epoki. Sztuka *L'Abbé de l'Epé* przez Pana Bouilly, z zapałem była przyjęta w Nowym-Yorku. Sztuki: *Placyda, Wielki Djabeł*, otrzymały również niezmierne powodzenie. Dunlap nie opuszczał swych prac gorliwych, z których należy wspomnieć o dramacie: *Sława milicyi Kolombijskiéj*; przychody z niéj były ogromne. Farsa: *Bonaparte w Anglii*, niemniéj była uczęszczaną. Sztuki: *Więzy serca, Zbawić i Zgubić, Ludwik Montblanc*, podtrzymywały teatr Dunlap'a. Przedstawienie sztuk podobnych, zaledwie byłoby cierpiane w naszych europejskich teatrach.

Ten teatr amerykański, którego nieokrzesanność świeżo widzieliśmy, poczyna się cywilizować, i codzień się otrząsa z tego tak oryginalnego charakteru, o któryméśmy mówili. Wielcy aktorowie angielscy udają się występować na teatrach Filadelfii i Bostonu. Wszystkie szuki Scribe'go, uległszy w teatrze londyńskim przekształceniu, często bar-

dzo śmiésznemu, przebywają Atlantyk, gdzie nowe przemiany czekają na nie jeszcze. Najlżejsze wyroby Europy okrywają glob cały, i te ładne zarysy, wynalezione dla zabawy paryzkich kobiét, rozweselają także handlarzy i kupców Bostonu i Nowego-Yorku. Cook, mistris Burns i Kean, Mercready, Forrest i Wallack; miss Kemble i Pani Malibran, jezdziły koleją dawać lekcye Amerykanóm. Pomimo jednak usiłowań i przykładów tych znakomitych aktorów, sztuka dramatyczna w Stanach-Zjednoczonych nie wzniosła się nad przywodzącą do rospaczy mierność. Oświecenie u nich zrodziło się, iż tak rzekę, pod szkłem treybhauzowém, i które swoje rozwinięcie się winne jest nie naturalnemu postępowi, za jakim idzie cywilizacya, lecz wczesnéj i zmuszonéj dojrzałości, niezdolnéj wydadź smakowitych i zdrowych owoców, ani w poezyi, ani w teatrze.

(Foreign Literary Chronicle.)

HUME.

Duch pisarzów francuzkich ośmnastego wieku, we wszystkich prawie gałęziach literatury, wpływał potężnie na uczonych europejskich. Upatrując jego działania na historyczną szkołę angielską, postrzegamy tam niezaprzeczone ślady Monteskiusza i Woltera, w téj swobodzie filozoficznéj, w tym rozumie wyższym, których oni przykłady wystawili.

Najpiérwszym zpomiędzy naśladowców ich w Anglii, ten, który upowszechnił w całéj Europie, filozoficzną historyą, który wystawił w tym rodzaju jeszcze nowym, wiele wyboru wyniosłości, szlachetności, wytworu sztuki, nakoniec, będzie Hume.

Rozprawiając o historyku Hum'ie, wyznajemy, że należałoby odrzucić na bok, część przedmiotu zupełnego i w całkowitości go nie ogarniać: uważać tylko będziemy tego sławnego pisarza, pod względem stosunków jego z Francyą, i co do nauk jego historycznych. Wszelakoż niepodobieństwem będzie dla nas zamilczeć o tém, co on uczynił, i o co się pokusił, w zawodzie sceptyzmu, tudzież nie zastanowić się, choć przelotem, nad powinowactwem tajemném, pomiędzy własną jego filozofiją, a jego historycznémi formami.

Z drugiéj strony, jest ważnym i naczelnym punktem widzenia, ta czynność ducha francuzkiego, która, znagła, w purytańskiéj Szkocyi, w kraju, o którym i niesłyszano we Francyi podczas siedmnastego wieku, wskrzesiła literaturę nową, myślącą, swobodną, filozoficzną. Jakoż rzeczywiście, sam nawet Robertson, pełen mądrości i Religii, Robertson, równie jak sceptyczny i dowcipny Hume, wszędzie śladami Monteskiusza i Woltera postępują.

Dzieła dwu tych zawołanych pisarzy, oraz filozofija podrzędna ośmnastego wieku, przez chwałę wziętości i zgorszenie upowszechnione, przebiegły Europę, i równie się, jak gdzieindziéj, do Szkocyi dostały. Owoż młodzieniec Hume, do tych zuchwałych nauk wciągniony został. Dla nauki prawa, dają mu do czytania Voët'a i Vinnius'a; lecz on, pilny starożytności klassycznéj naśladowca, Cycerona i Wirgilego pożera, potém się zaś pisarzami francuzkimi wspomaga: było to nowością i wielkim owoczesnym utworem. Ta cześć nauk, którą Francya do najwyższego stopnia, u siebie podniosła, rozprzestrzeniona wszędzie, tak była, w owym czasie żywą, iż Anglik mający przed sobą widok spraw publicznych, tudzież wielkich interesów, które z nich wypływają, szlachetnych pobudzanych przeznie uniesień, oraz nagród, które sposobią, wszelakoż, przed tém wszystkiém, literacką chwałą został przywabiony. Hume sam to wyznaje, że przez lat trzydzieści swojego życia, wzdychał tylko jedynie do tego, ażeby

zostać uczonym literatem; nie widzi on nic piękniejszego nad doskonalenie, w samotności, od spraw światowych oddalonéj, tego potężnego narzędzia myśli, którém literatura francuzka zdawała się dzielniéj poruszać Europę, aniżeli parlament angielski, mocą całéj swéj wymowy. Przetoż Hume, bezwarunkowie się filozoficznym i literackim naukóm poświęcił, innéj sobie ambicyi, ani widoków, na całą przyszłość, nie zostawując. Toż samo podziwienie dla pisarzów francuzkich, zaprowadziło go wcześnie do Francyi, gdzie, pod rządem samowładnym, spodziewał się znaleźć spokojność, swobodę i szczęśliwość życia, które się zdawały charakter Francyi, w ośmnastym wieku stanowić.

Po téj piérwszéj edukacyi Hum'a, wyczerpniętéj w pisarzach francuzkich, szuka on innéj na francuzkiéj ziemi. Usuwa się do *Fleche* w Andegawii, gdzie się uczy metafizyki pod natchnieniem Loka; podniecany i ośmielany przez Woltera, uczy się jéj sceptyczniejszéj i mniéj duchownéj je-

szcze, aniżeli była w początkach: a przez tę pracę umysłu dzielnego, który się nie określa obrębem idei cudzych, ani też swoich własnych, mordując się, tą zbyt ciasną, o *sensacyi*, nauką, rzuca się w idealizm nieograniczony, który, dla niego, zupełniejszym jest tylko sceptyzmem. Przychodzi do zaprzeczania wrażeń zewnętrznych i do zaprzeczania przyczyny. Są to kroki najzuchwalsze, jakie tylko, najsceptyczniejszy, ze wszystkich umysł uczynić zdoła. Kiedy już stanął u tego krésu, zatrzymuje się, na przekorę samemu sobie.

Piérwsze te prace umysłu Hum'a, wśpierała taż sama zasada, która ich była rodzicielką; miłość chwały literackiéj, tak potężnéj wówczas w Europie. Nacierany przez niecierpliwą żądzę pisania i wsławienia się, układa traktat o *przyrodzeniu ludzkiém*. Powraca co żywo do Londynu, dla ogłoszenia jego; ale tam, w owym czasie, tyle zatrudnienia przyczyniały sprawy polityczne, spory parlamentowe, upadek lorda Chatam'a strąconego z potęgi i mogącego do niéj

powrócić, że traktatu jego nawet nie czytano. «Nie miałem nawet pociechy, rzecze, zgorszyć nabożnisiów.» Nie wiele się prawdziwéj filozofii, w tym żalu zawiéra. Ale pomimo tego niepowodzenia, Hume wierny zawsze swojemu powołaniu, na wsi, przy swoim bracie i matce, powraca znowu do życia spokojnego, próżnego starań i ambicyi, tudzież zupełnie poświęconego naukóm, dążeniu do chwały, jaką te zdawały mu się obiecywać, a na którą nieco zaczekać potrzeba było: takim sposobem wiele lat przepędził. Następnie, ta potrzeba, nie wyniesienia się, ale fortuny, od któréj tak ciężko jest się wywinąć, zmusiła go do przyjęcia więzów. Był on, przez czas pewny nauczycielem pewnego magnata angielskiego, potém sekretarzem jenerała Saint-Clair'a, który miał się udadź do Kanady, ale się tam nie udał: poźniéj wszelakoż był przy nim na dworach: Wiedeńskim i Turyńskim. Wpośrzód słodyczy tego nowego życia, do którego nasz filozof z łatwością przywyknął, zatrudniał się przerobieniem swojego traktatu

o *życiu ludzkiém*, nie mogąc go, dosyć sceptycznym i dosyć gorszącym uczynić, ażeby obudzić i rozdrażnić prawowierność anglikańską zdołał.

Po tych wycieczkach na ląd stały, do Edymburga, swojéj ojczyzny, powraca, gdzie ważne nad moralnością dociekania daléj prowadzi: ogłasza wiele traktatów. Nakoniec jego talent i jego wziętość dosyć się zrobiły znakomitémi, ażeby sprawić, względem jego nauk niespokojność: postrzeżono się, nakoniec, ile był zuchwałym sceptykiem. Duchowieństwo szkockie prezbiteryańskie, które chociaż będąc za niepodległością, nie pozbawione wszakże cząstki małéj intolerancyi, gorszy się, zapala; Hume więc, który uwolniony od pokus dostojeństw światowych, przyjął tylko miejsce dozorcy biblioteki adwokatów w Edymburgu, musiał je opuścić. Inny ambicyi rodzaj wabił go przez czas niejaki; życzył on sobie zająć katedrę filozofii moralnéj, która w Edymburgu została ustanowiona; lecz gdy zasady jego nauk sceptycznych znalazły przeciwnika nie tak

strasznego jak żarliwego, w doktorze Balfour, prawowierność dzieł tego ostatniego, miejscem, do którego wzdychał Hume, uwieńczona została. Te niepowodzenia ujęły odwagi naszemu filozofowi; żałował on Francyi, gdzie duch filozoficzny zdawał się mieć tyle wziętości, w początkach nawet prześladowania jakiego doznał. Wszelakoż wolność używania bogatéj biblioteki edymburgskiéj, umysł jego ku naukom historycznym zwróciła. Z témi więc przysposobieniami, w całéj swéj czystości sceptycznémi, z tém wystąpieniem na świat pyrronisty, postanowił pisać historyą.

Wiadomo, co sam on wyznał, względem niepowodzenia tomów swoich piérwszych: «Wigowie, Torysowie, Niekonformiści, Anglikanie, Dworacy, Patryoci, słowem wszyscy, okrzyk nagany przeciwko mojemu dziełu podnieśli. Nie mogli mi tego darować, żem łzę wspaniałą Strafford'owi poświęcił, i żem, Karola I, żałował.» Tak więc raz jeszcze jeden, przez błąd gustu współczesnego, ambicya Hum'a zawiedziona

została. Najinteresownicjsza część wielkiéj jego historyi przeszła bez powodzenia. Wszelakoż, przez pewny rodzaj zaufania w sobie i stałości uporczywéj, która mu była wrodzona, bierze się nanowo do dzieła, i swoje przedsięwzięcie z odwagą daléj prowadzi. Wygórowanie widoków, znamionujących jego dzieło, wytworność, szlachetna i staranna, stylu, kończą na pokonaniu obojętności publicznéj. Z drugiéj strony, ideje filozoficzne, przeszłe zrazu z Anglii do Francyi, na Angliją z Francyi wówczas oddziaływały: umysły, w sposób szczególniejszy, zaczęły bydź głaskane, tym wstrętem do kontrowersyj teologicznych, tą nienawiścią, tą wzgardą ku dawnym waśniom i niesnaskóm purytanizmu, które historyą Hum'a napełniały. Przetoż powodzenie jego znagła urosło; zaczął on poczuwać całą roskosz tego wsławienia i rozgłosu, którego tak szukał, i które, lękamy się powiedzieć, przenosił może nad samę pawdę i nad święty ludzkości interes.

Ale powodzenia, jakiemi uwieńczone zo-

stały ostatnie tomy historyi Hum'a w Anglii, niczém były, w porównaniu z témi, jakie osobę jego we Francyi czekały. Wziętość mniemań filozoficznych, w inny sposób tam była ożywioną, albowiem nastawano na nię, broń zaś, któréj do tego użyto, była zmięszaniem samowolności ze słabością. Dzieło Hum'a, dostając się do Francyi, jednozgodny w niéj entuzyazm obudziło. Zdawano się widzieć sposób wolterowski, po części oddany wiernie, po części zaś przewyższony.

Z drugiéj miary, okoliczność szczęśliwa, przywiodła go do Francyi, pod najprzyjaźniejszém godłem dla miłości własnéj i dla powodzenia: był on bowiem, sekretarzem poselstwa mianowany. Potrzeba, ażeby się czytelnik od niegoż samego dowiedział jak go we Francyi przyjęto: pisze on do Robertson'a z Paryża, pod datą 1 grudnia 1763:

«Zapytujesz mię się, kochany Robertson'ie (*), jaki tryb życia tu prowadzę? Oto

(*) Life, of David Hume by Edward Ritchie. p. 183.

jest wszystko, co ci mogę powiedzieć: żywię się samą tylko jedynie ambrozyą, napawam się nektarem, oddycham wonnościami, stąpam po kwiatach. Każdy mężczyzna, z którym się spotykam, a bardziéj jeszcze każda kobiéta, mniemałaby, że uchybia najważniejszemu ze swoich obowiązków, gdyby długiéj i dowcipnéj mowy, na moję pochwałę nie powiedziała.

«To, co przytrafiło mi się, w ostatnim tygodniu, kiedy miałem zaszczyt bydź przedstawionym dzieciom Delfina, w Wersalu, jest najciekawszą sceną ze wszystkich, w jakichem się znajdował. Najstarszy, z młodych książąt, książę Berri, dziesięcioletnie dziecię, prosto się, przede mną, zatrzymał, i rzekł do mnie: jak wielem ja miał przyjaciół i wielbicielów w tym kraju, dodając, że się i on mieścił w ich liczbie, dla roskoszy, jakiéj doznał, czytając wiele miejsc, z mojego dzieła. Kiedy dokończył, brat jego, książę Prowancyi (Ludwik XVIII), młodszy o dwa lata; zabrał mowę, i rzekł: że mię, oddawna we Francyi wyglądano

z niecierpliwością, i że się spodziewał znaleźć wielki interes w czytaniu mojéj historyi. Ale, co jest ciekawsza, kiedym się znalazł przed hrabią Artezyi, który nie ma więcéj nad cztéry lata, usłyszałem, jak szeplunił z wdziękiem, kilka wyrazów, które mi się zdały bydź częścią komplementu, którego nauczono zapewne, to dziecię, ale go zupełnie, w pamięci zatrzymać nie mogło.

«Dorozumiewają się, że ta cześć, z wyraźnego rozkazu Delfina została mi wyrządzona, który, w każdém zdarzeniu, nie szczędzi dla mnie pochwał.»

Ten Delfin, był to książę cnotliwy i bardzo żałowany: Thomas wielbił pamięć jego, w pochwale nieco nadętéj, lecz od zwykłych jemu naturalniejszéj, dzięki wrażeniu publicznéj boleści.

Wreszcie, po przeczytaniu tego listu prawdziwie historycznego, umysł nasz nie jedno czyni sobie zagadnienie. Nie zachodziłoli jakoweś sprzeciwieństwo, pomiędzy surowością wywieraną wtenczas naprzeciw Russ'a, a tém lubém i uprzejmém zobo-

wiązywaniem, którego władza chciała *indirecte* użyć, przez organa błogie i najszczérsze, dla głaskania i dla ujęcia filozofa angielskiego, niemniéj zuchwałego, a bardziéj irreligijnego, niż był Russó?

Zależało to od niepewności społecznéj całego wieku ośmnastego, chwiejącego się pomiędzy dawnémi zwyczajami, namyślającego się, iż tak rzekę, za każdym krokiem, nad przypomnieniami władzy, podaniami wieku Ludwika XIV, którego nic już nie podpiérało, a tą swobodą myśli, która się ze wszech stron odzywała; z Francyi, z Anglii, ze Szkocyi, a nawet ze Włoch.

Była to właśnie epoka i przyczyna związku jego ze sławnym i nieszczęśliwym Russó.

Od trzech lat Hume przemieszkiwał we Francyi, gdzie, jak łatwo jest temu wierzyć, upodobał on sobie do tego stopnia, że się nawet, dla swojego kraju niewdzięcznym stawał. «Chcę tutaj pozostać nazawsze, pisał do Robertsona; ludzie uczeni i nauki same lepiéj tu są uważane, aniżeli pomiędzy naszymi londyńskimi barbarzyńca-

mi.» Mniemamy, że pod témi wyrażeniami obejmował on *Wigów* i *Torysów*; chociaż to i sam nieco był Torysem: lecz nade wszystko wytykał on tu stronnictwo religijne, które się, w końcu, na odgłos powodzeń Hum'a ocknęło; a przez organ popędliwego Warburtona i jego uczniów, wymierzało ku niemu krytyki, równie gorzkie co do stylu, jak w rozumowaniach potężne.

Wszelakoż, po trzech latach pobytu i wziętości publicznéj we Francyi, Hume postanowił do Anglii powrócić. Niewiadomo, czy on sam spostrzegł sprzeciwieństwo, jaką wystawiała jego wziętość u dworu, a wywołanie *Jana-Jakóba*, i, czy też poczuwał szkrupuł lub zgryzotę sumnienia, że tak był dobrze przyjęty, on pyrronista otwarty i determinowany, on niedowiarek bez nadziei upamiętania się i poprawy, wtenczas, kiedy Russó żarliwy obrońca teizmu i spirytualizmu, był wywołany, i przez całą wypędzony Europę. Cóżkolwiekbądź, oświadczył on wspaniałomyślnie Russo'wi, że

mu się wystara przytułku w Anglii, dokąd się zabrać go z sobą podjął.

Nie chcemy tu nadużywać téj łatwości bijograficznéj, w szczegółach; nie chcemy wdawać się w drobiazgi poróżnień *Jana-Jakóba* z Hum'em. Z łatwością wierzymy, że się Russó pogniewał zanadto prędko, że był nazbyt skłonny do popędliwości, nazbyt drażliwy, niesprawiedliwy nawet. Ale winniśmy, wszelakoż, tę uczynić uwagę, iż zachodziła piérwotna i naturalna antypatya, już nie pomiędzy *Janem-Jakóbem* a Hum'em, ale pomiędzy naukami wyniosłémi Russ'a i naukami Hum'a, zupełnie filozofiją Holbach'a nasiękłémi.

Nie dosyć tego, całe to stronnictwo encyklopedyczne i epikurejskie, na które Russó z oburzeniem się powstawał, które upakarzał swoim geniuszem, całe to stronnictwo, nabożne, iż tak rzekę, do bezbożności, a tém samém do intolerancyi, oglądało markotnie i gniewliwie *Jana-Jakóba* przybywającego tryumfalnie do Londynu, i przyjętego tam uprzejmie przez najznakomitszą

część izb obu, czego Russó nie omieszkał oświadczyć.

Pisano z Paryża do Hum'a, iż on niepowinien dowierzać charakterowi niespokojnemu i nienawistnému Russ'a; obwiniano nawet Russ'a, jako prawdziwéj filozofii odstępcę, rozumie się, téj filozofii, jaką w domu barona Holbach'a powiadano. Wyobrażamy sobie, iż pomiędzy dwóma umysłami, mniéj więcéj wyniosłémi, jakiémi były wówczas umysły ludzi uczonych, mniéj więcéj zawistnémi, jakiémi zapewne nie są teraz, drobne nieporozumienia bez trudności powstać mogły. Prócz tego, Hume, od czasu jak przestał bydź prosto tylko filozofem, od czasu jak został mianowany członkiem poselstwa we Francyi, miał się na baczeniu i ostrożności, jako człowiek należący do dworu. Chciał on otrzymać, dla Russ'a, pensyą od króla angielskiego, lecz pensyą sekretną, ażeby nikogo nie zadrasnąć. Russó zaś pragnął, ażeby mu pensya zaszczytnie i publicznie była przyznana. Druga przyczyna niezgo-

dności i goryczy, pomiędzy dwóma przyjaciołami.

Prócz tego, Russó, od czasu swojego poróżnienia się, tysiące osobliwszych rzeczy opowiadał. Utrzymywał on, że Hume chciał go zgubić w wyższém towarzystwie angielskiém; twierdził, iż kiedy dnia pewnego nie oddał on wizyty pewnemu poważnemu teologowi angielskiemu, na którą czekano w muzeum britaniczném, Hume, niby to, dla usprawiedliwienia go, złośliwie powiedział: «Nie masz się co dziwić; P. Russó wolał się udadź na widowisko teatralne z Panią Garrick; nie możnaż, jednocześnie, na każdém się miejscu znajdować?»

Są to nędzne i mizerne okoliczności. Mąż pełen dowcipu i smaku, P. Suard, wyłożył wszakże wszystkie te spory; korrespondencye ośmnastego wieku, są niémi przepełnione; przytaczamy je tylko, jako probkę drobiazgowości umysłu, którą wiek ośmnasty, z jego zuchwalstwem jednoczył. We Francyi, dla tego tak się bardzo zajmowano

plotkarstwem, ponieważ nie było instytucyj.

Ale zapomnijmy o téj nieszczęsnéj waśni. Nie przytaczajmy nawet listu Hum'a do Horacyusza-Walpol'a, listu mniéj wspaniałomyślnego, a który nawet, zdaje się dobrą wiarę filozofa szkockiego obwiniać; nie wspominajmy powodowania się jego paryzkiémi stronnictwami, nieprzyjaznémi dla Russ'a, ni też goryczy pism jego, przeciwko przyjacielowi stroskanemu i nieszczęśliwemu, któremu prześladowania i sława przewróciły nieco w głowie. Zostawmy to wszystko i powiedzmy, że po tym wypadku, który niewiele zakłócił spokojność filozoficzną jego życia, Hume znowu do zaszczytów powołany został: był on sekretarzem stanu, w ministeryum jenerała Conway'a. Administracya ta niewiele miała świetności; wiele albowiem ksiąg przewartować wypadało przed odkryciem, do jakiego departamentu Hume był przyłączony: departament ten stanowiły interesa południowe, to jest sprawy kolonij amery-

kańskich. On sam nawet, do swojego w interesach uczestnictwa, nie zdawał się wielkiéj wagi przywiązywać; przestaje tylko na powiedzeniu: iż powrócił z większym zapasem pieniędzy i z większym dochodem. Uwaga ta byłaby drobnostką, gdyby z niéj ważnego wniosku wyciągnąć nie można było: a tym jest, że ten wielki umysł, we wszystkich zwyczajach swojego życia, statecznie francuzkim pozostał. Nie miał on uczucia znaczącego względem instytucyj swojego kraju, ani też zamiłowania chwały politycznéj. Sprawy publiczne były dla niego tylko szczęśliwém przejściem, które dla ulepszenia jego fortuny, tudzież do ułatwienia jego niepodległości dopomagały. Nie opiérał on swojéj wziętości na parlamencie londyńskim, ale na paryzkich salonach. Mniéj on był patryotą angielskim, jak wspoł-obywatelem tych filozofów francuzkich, których pisma całą Europę urzekały. Prawda to jest, iż w ośmnastym wieku ważność polityczna nie miała miejsca; i chociaż instytucye szczęśliwe zdawały

się ją gruntować w Anglii, przewaga nadzwyczajna, atoli, dowcipu wolterowskiego, tudzież powab nowości potężnéj, do Francyi ją przenosiły.

Tymczasem, wpośrzód takiego życia, **Hume** dźwignął swój wielki pomnik. Ociągaliśmy się aż dotąd z zastanawianiem się nad nim. Chcieliśmy dadź poznać człowieka piérwéj, niż do uczenia się dzieła jego przystąpimy. Ileż to się uwag tu nastręcza; i jak ta część pracy krytyka jest trudną.

Historya w Anglii, wpośrzód siedmnastego wieku, nic nie wydała, coby się zrównało, a nawet przybliżyło, do tego charakteru kompozycyi dziejopisarskiéj, któréj nam starożytnosć tak przedziwne wzory zostawiła.

Jakież jéj są cechy? mamyż je wskazywać wszystkie? mamyż się zapytywać, czego nam brakło przed **Hum'em**? jakie były usiłowania nowoczesnego ducha? w czém te usiłowania są trudniejszémi aniżeli starożytnych? jaka rozmaitość rozlicznych piérwiastków powinna się przyczynić, pomiędzy

nami, do utworzenia dzieła historycznego? jakie są wady, któremi ją każą nasze obyczaje nowoczesne? jakim sposobem wad tych uniknąć? jaki jest charakter kompozycyi historycznéj najprawdziwszy? albo jeżeli wiele ich jest również prawdziwych, jakim sposobem je z sobą połączyć można? jacy byli wielcy nowatorowie genjuszu historycznego, w naszych nowych czasach? jakiego nowego postępu, jakiego rozwinięcia się genjusz historyczny doścignąć jeszcze może?

Nie będziemy tutaj wytaczali miejsc pospolitych o historykach starożytnych. Nie wymienimy nawet *Traktatu Lucyana, o sposobie pisania historyi.* Lucyan jest najdowcipniejszy z retorów, retor, który szydzi z innych, ale, koniec końcem, jest to zawsze retor. Zastanawia się on tylko nad przymiotami wysłowienia, a w tym przeglądzie historyków swojego czasu tak uszczypliwym, tak złośliwym, widzi tylko formę zewnętrzną i sztukę historyi.

W naszych nowych czasach, przed Wolterem i odnowieniem historycznêm, jakiego

on dokonał, a za którém w tąż Hume się udał, zdaje się, że trzéj mężowie, tor głęboki, w zawodzie historycznym, zostawili; Machiavel, de Thou, Bossuet, te trzy piérwowzory, dziwnie od siebie różne, a żaden z nich, jak się zdaje, nie jest typem, do naszéj epoki przypadającym.

Ztąd wypływa ten wniosek naturalny, że historya, żadnéj formie koniecznéj i ścisłéj nie ulega, iż ona, ze wszystkich rodzajów pisania, stanowi rodzaj jego najrozmaitszy, oraz najwielorakszy; że talentowi zawsze nowe pole otwarte zostawuje; że stosownie do punktu widzenia, na którym się umieszcza pisarz, stosownie do charakteru jego genjuszu, jego epoki, albo też celu szczególniejszego, jaki sobie zakłada, historya się odmienia, przekształca, lecz zawsze się prawdziwą, z każdéj strony wystawia.

Machiavel jest starożytnym i nowoczesnym zarazem: owoż oryginalność jego. Od starożytności zasięga on tego hartu duszy, tego energicznego wyrazu, który nie pędzlem, ale raczéj rylcem kréśli swoje

obrazy. Od niéj pożycza on tych krassomowskich rzeczy, którémi nie w miejscu swojém przemawia, kiedy się odzywa u niego Albizzi, spiskowy Florentczyk, ledwo nie w obywatela rzymskiego przedzierzgniony. Ale, obok tego, posiada on tę biegłość przenikliwą i tę dokładność, którą dzisiejsze czasy nadają. Przez potrzebę swojego przedmiotu, prowadzony on jest do tego szybkiego rzutu oka na przeszłość, do tego skupienia w treści, rozległych i filozoficznych widoków, które, za jedném spojrzeniem, daje widzieć wszystkie charaktery narodu, albo też epoki jakiéj. Nic nie masz piękniejszego, pod tym względem, nad piérwszą księgę historyi florentskiéj. Tam całe barbarzyństwo śrzedniego wieku, zgęszczone jest i zbite, iż tak rzekę, w kilku kartkach; chociaż głębokość uwag, nic prawdzie kolorów nie ujmuje.

Po nim odznacza się de Thou, przez znakomite przymioty, które zupełnie nowoczesnémi nazwiémy; albowiem, bezstronność sumienna, uspokojenie rozumu i spra-

wiedliwość, które w nim postrzegamy, były przymiotami prawie nieznanémi dawnym, a nawet prawie niepodobnémi dla nich. Namiętności rzeczypospolitych dawnych, te waśnie tak żywe pomiędzy małémi państwami Grecyi, tudzież pomiędzy stronnictwami, które tyleż udzielnych mocarstw w każdéj demokracyi składały, zdawały się wyłączać tę nieskazitelność i tę niepodległość, czyli filozofiją, któréj się de Thou, w czasach fanatyzmu i zaciekłości, trzymał.

Po tym wielkim, cnotliwym i nieskazitelnym mężu, wznosi się Bossuet, wyższy przez swój genjusz. To, czém doświadczenie świata, czém znajomość praktyczna i wzgardliwa pospolitego życia, nadały Machiavel'a, od chrześcijańskiéj myśli, pod inną formą, odebrał Bossuet. Z wysokości swojéj, pasterskiéj kazalnicy raczéj, aniżeli ze swego dziejopisarskiego pulpitu, roztrząsa on i zgromadza historye narodów. Każe przeciągać przed sobą pokoleniom ludów, pomyka jedne z nich za drugiémi odzywając się; przechodźcie, prze-

chodźcie! według wymownego zastosowania, jednego ze swoich najwymowniejszych panegiryków. Potrąca je ku przepaści, zdając się prorokować to, co opowiada. Coś górnego i uroczystego jest przywiązane do tej wieszczéj postawy: nie jest to już powołanie dziejopisa, lecz raczéj potęga, i jeżeli tak rzec można, urok mowcy.

Jakże to, trzy wymienione historyi formy są rozmaite, a oraz jak dalekie od wyczerpania i rozebrania pomiędzy siebie nieskończonéj różnokształtności genjuszu dziejopisarskiego!

Wystawujemy sobie, iż jeżeliby chciano wybrać i rozgatunkować przymioty moralne i umysłowe dziejopisa, przeraziłoby nas to wszystko, czego wymagać od niego potrzeba. Cycero zadał sobie bardzo wiele pracy, ażeby ukształcić swojego, niepodobnego do znalezienia, mowcę; włożył nań mnóztwo uciążliwych warunków nauki, łatwości, genjuszu; zalecił mu wiele ćwiczenia się, tudzież wiele talentu zarazem. Rozumielibyśmy, że powinność historyka, ani jest mniéj rozległą, ani mniéj, w dopełnieniu

trudną. Owoż, co do przymiotów moralnych, wymagalibyśmy naprzód od niego, miłości prawdy, to jest dokładnéj gorliwości, cierpliwości posunionéj aż do szkrupułu i zamienionéj w namiętność. W téj miłości prawdy, nie tylko zawiéramy potrzebę poznania prawdy oschłéj i martwéj, zagrzebanéj w papiérach dyplomatycznych, ale siłę czucia, wraz z możnością oddania prawdy współczesnéj i miejscowéj, kréślenia nanowo fizyognomij osób, wprawiania ich w czynność, nie przypominając na czasy, w których się żyje, tudzież zwracania im ich żądz wraz z właściwémi im ubiorami. Owoż przymiot charakteru, który się sam, w historyku, przymiotem talentu, staje.

Potém, wymagalibyśmy od dziejopisa miłości rodu ludzkiego. Jego sprawiedliwość bezstronna, nie powinna bydź pozbawiona czułości. Potrzeba przeciwnie, ażeby miał pewny interes, pewną namiętność; potrzeba, ażeby życzył, ażeby się spodziewał, ażeby kochał; ażeby z tego, co opowiada, cierpień lub uszczęśliwienia doznawał. Zwa-

żmy Tacyta; jest to największy z historyków, albowiem będąc najnieskazitelniejszym mężem, jest oraz najnamiętniejszym dziejopisem: albowiem, roztrząsa jako sędzia, zeznaje jako świadek, pełen wzruszenia i oburzenia się na to, co widział.

Nakoniec wymagamy od historyka, przynajmniéj w pewnych zdarzeniach, miłości kraju.

Nie myślimy z Lucyanem, że historyk powinien bydź obcy każdemu krajowi, bez ojczyzny, bez ołtarzów; nie myślimy, jak pewny pisarz ośmnastego wieku, że mu nie godzi się mieć żadnéj narodowości, żadnego stronnictwa, żadnéj Religii. Nic!... Powinniśmy wierzyć historykowi; a jakżeż można wierzyć temu, który sam w nic nie wierzy? Potrzeba koniecznie, ażeby historyk wyznawał szczerze wiarę religijną, sobie właściwą; wiary téj nie narzuci on czytelnikowi; ale doda mu w sobie zaufania, dla tego samego, że tę wiarę wyznaje: a jeżeli z pośrzodka wyznań wiary jemu właściwych, poczujemy moc i niewzruszoność

rozumu wyniosłego, który uznaje i obwieszcza prawdę, wtenczas historyk pociągając nas za sobą, oświéca i przekonywa razem.

Owoż co do przymiotów moralnych historyka. Co się zaś tycze przymiotów umysłowych, te się przerażającémi i nieskończonémi wydają. Niesłuszną, zaiste, jest to rzeczą, że trudniéj jeszcze posiadać talenta jak cnoty: wszelakoż, jest to niezaprzeczona prawda.

Przetoż, w naszych nade wszystko dzisiejszych czasach, obciążonych tylu faktami, tylu umiejętnościami i wiadomościami rzeczy; w téj Europie, zawiérającéj w sobie tyle państw ogromnych, z których każde jest światem, w Europie, która sama obraca się w świecie powszechnym, z którym się tylu punktami styka; w pośrzodku téj rozmaitości nieskończonéj praw cywilnych i politycznych, instytucyj mniéj lub więcéj udoskonalonych; w tém powikłaniu wojny, marynarki, finansów, życiopisma społecznego, jeżeli tak wolno powiedzieć, i życiopisma prywatnego; słowem, to wszy-

stko, co historyk powinien mieć z wiadomości, przez naukę i pracę nabytych, tudzież z darów przyrodzonych, biegłości i wprawy powolnéj i gotowéj na każde zapotrzebowanie, wszystko to mówię, zgromadzone razem i pod jeden rzut oka poddane, przeraża. Albowiem pojęcie powszechne, znajomość całości, tudzież każdego w niéj szczegółu, zdaje nam się przymiotem ściśle w historyku potrzebnym. A wszelako, jakże się pisze historya? Piszą ją albowiem nie pomyślawszy i nie zastanowiwszy się dobrze piérwéj.

Kiedy historyk odebrał już te przymioty moralne, któreśmy za duszę talentowi jego naznaczyli; kiedy już zgromadził i połączył w sobie te nieskończone wiadomości, o którycheśmy tylko co powiedzieli; kiedy nabył téj giętkości, tego zapału, téj łatwości w pojmowaniu, zawsze gotowéj do nabycia nowych wiadomości, oraz ich zatrzymania; jeszcze roboty swojéj nie dokonał: potrzeba mu talentu kompozycyi, sztuki rozporządzenia, stopniowania, tych skarbów wiado-

mości i pojęć; potrzeba mu interesu, a w nim postępu. Konieczność tych przymiotów powszechnie jest uznana, i nie tak się mają rzeczy, jak powiedział Cycero: *Że historya jakimkolwiek sposobem pisana bawi.* Historya ma prawo nudzić, i nikt się na to użalać nie może.

Weźmy w rzeczy saméj to mnóztwo historyj pisanych aż do ośmnastego wieku. Przeczytajmy Mezereja (*Mezerai*) służebniczego i fanatycznego Daniel'a, uczonego ale rozwłokłego i zimnego Rapin'a de Thoiras. Jakażkolwiek jest w nich wielkość wypadków, wyjąwszy chyba tylko chwile pewne, w których rzeczywistość silniejszą była od dziejopisa, wszystko tam nas wreszcie utrudza i odraża: wszelakoż, czémże jest historya więcéj, jak obrazem życia? i cóż jest bardziéj ożywionego, bardziéj interesującego, przydatniejszego wzrokowi człowieka, jak widok życia? Dla czego jesteśmy bez przestanku widzami tak ciekawymi i tak namiętnymi wypadków współczesnych, a dla czego też same wy-

padki zagrzebane w księdze historycznéj, są częstokroć, dla naszego, równie jak i dla obcych krajów, ckliwe i odrażające? Wina w tém jest, bez wątpienia, dziejopisa: lecz żeby uniknąć téj winy, ileż to talentów mieć potrzeba? Wszystkie jednakże te rozliczne talenta, pod tém jedném wyrażeniem zgromadzić można: *sztuka kompozycyi*; to jest, sztuka rozporządzenia rzeczywistości tak, jak imaginacya wymysły swoje rozporządza; sztuka zażycia gruntu, którego z miejsca ruszyć nie można, jak poezya oryentalna zażywa tych krain bajecznych, które w przestworach nadpowietrznych utwarza.

Życie ludzkie jest procesem, którego wszystkie szczegóły współczesnych obchodzą, lecz który dla potomności skrócić koniecznie należy. Historyk powinien wybierać, z nieskończonéj liczby faktów, to tylko, co zasługuje na przeżycie, co jest z siebie trwałe, czyli zgodne zawsze z przyrodzeniem człowieka, lub też ma stosunek anegdotyczny z naturą ludzi wziętych w danéj epoce.

Pozostaje styl jeszcze; ale mniemać nie potrzeba, że styl jest rzeczą oddzielną, któryby, w pewny sposób, można było odłączyć lub odłożyć na stronę; przylega on najściśléj do myśli. W czwartym wieku pisarze chrześcijańscy wyobrazili byli sobie, przez czas niejaki, że dla zniszczenia poganizmu, należałoby odjąć styl Homerowi i Menandrowi, a przenieść go do chrześcijańskich przedmiotów. Za dni naszych, zręczny przemysł odrywa od ścian i sklepień kościelnych arcydzieła malarstwa i umieszcza je na płótnie, na którém się przechowują. Ale w rzeczach myśli, ta powierzchowność stylu jest niczém. Dzieła sztuczne, które piérwsi Chrześcijanie, takim sposobem, z przenośnych ułamków układali, tych nawet samych, dla których były robione, nudziły. Lecz kiedy przeciwnie, Chrześcijanie, nie oddzielali swojego stylu od myśli, ani swych myśli od stanu swojego bytu: kiedy tylko przestawali na układaniu mów zachęcających, jednych do męczeństwa, innych do pokuty, byli zawsze

godnymi i sposobnymi zdobydź się na styl, którego od pism ich odłączyć nie można było, i który tak ściśle jednoczył się z myślą, jak dusza z ciałem.

Owoż nasz sposób pojmowania stylu. Nie będziemy przeto udzielnie o nim rozprawiali: wypłynie on zawsze, ze wszystkich tych przymiotów umysłu i duszy, któreśmy wskazali dotąd. Przetoż, z téj nieskazitelności surowéj, z téj potrzeby prawdy i z téj względem niéj żarliwości, we wszystkich szczegółach, z téj imaginacyi pełnéj zapału, z tego wszystkiego, cokolwiek dla niéj obraz prawdy uzupełnić może, powstanie gorącość wyrażenia, wraz z interesem kolorytu.

Z tego rozporządzenia uczonego i stopniowanego pomiędzy wszystkiémi częściami dzieła, z téj znajomości ogromu, za pomocą którego można połączyć w jedno wszystkie szczegóły obyczajów, sztuk, umiejętności, całą nakoniec prawdę życia ludzkiego, powstaną: ruch, powab, i nowość całego wysłowienia.

Tak więc styl połączy się ze wszystkiemi przymiotami i talentami, jakich po historyku wymagamy: lecz ten względem niego warunek, łatwiejszym się przez to bynajmniéj nie stanie.

Przystąpmy teraz do zastosowania. Zjściłże Hume wymagania tego wzoru, któryśmy tu skréślić zaprobowali? Wiele bardzo jeszcze do tego braknie. Rozum jego jest wyniosły, dowcip pełen bystrości, styl wytworny i czysty; aleź prawie żaden z dzielnych przymiotów duszy w historyi się jego nie znajduje. Téj żarliwości względem dokładnego wybadania prawdy, nie ma on w sobie zgoła: łatwo się zaspakaja. Dokumenta dostarczone przez dziejopisów pośrzedniczych, uwalniają go od pracowitéj potrzeby sięgania do samych źrzódeł piérwotnych. Wyznaje on sam, iż we Francyi, nastręczano mu uprzejmie, że się może radzić cztérnastu woluminów pamiętników Jakóba II, tudzież całéj korrespondencyi ambassadorów francuzkich w Londynie, i że zajęty roskoszami Pa-

ryża, całkowicie téj nieocenionéj zręczności zaniedbał.

Przetoż w Hum'ie znajdzie czytelnik częstokroć błędy materjalne, któreby łatwo mu przyszło sprostować, gdyby miał ciekawość powartowania cokolwiek wywodów słownych izby niższéj. Czemuż tego nie uczynił? Albowiem Hume, w niektórych częściach dzieła swojego, miał wzgardę ku swemu przedmiotowi.

Napisał on, iż nie pojmuje potężnéj przewagi Kromwell'a, w zgromadzeniach, albowiem Kromwell odzywał się jak grubijański wieśniak; to są własne słowa naszego historyka. Jego smak akademicki, obrażony kilku wyrażeniami grubémi, teologicznémi zbytecznie, które wyszły z ust Kromwell'a, nie postrzegał tego żarliwego i posępnego zapału, który się w gruncie słów tych rozniecał. Wydało mu się śmiészném to Kromwell'a oświadczenie: *Ja nie wezwałem sam siebie na to miejsce; inni powołali mię na to miejsce*: i t. d.; tudzież podział mów jego, jak gdyby ka-

zań, na trzy części. Ale gdyby historyk, nie zrażając się kilku wyrażeniami twardémi i pedantycznémi, daléj w głąb przenikać zechciał, poczułby rozlegającą się słów Kromwell'a potęgę, która tak przeważnie na dusze działała, i wytłumaczyłby, na przemiany, mowy Kromwell'a przez jego potęgę, a potęgę przez jego mowy.

Nie znajdujemy u Hum'a, w takim stopniu, w jakimbyśmy sobie życzyli, zamiłowania ludzkości. Opowiada on o niegodziwościach twardych i przedłużonych panowania Elżbiety i Karola piérwszego; rozbiérając je wszakże, najmniejszego cierpienia, najmniejszego współczucia nie okazuje. Na wzór Wolter'a w jego Uwagach nad obyczajami (*Essai sur les Moeurs*) przypisuje on częstokroć wielkie i ważne wypadki drobnym przyczynóm, żartując sobie gorzko z rodu ludzkiego, który, według niego, statecznie jest oszukiwany.

Téj miłości swojego kraju, z któréjśmy uczynili cnotę dziejopisa, nie postrzegamy także dosyć w Hum'ie. Nie chcielibyśmy,

zaiste, deklamacyj; lecz przyjemnie byłoby czuć duszę starodawnego Anglika; widzieć go przywiązującym się do swojego kraju, jak przyjaciela, którego się we wszystkich trafach życia nie opuszcza; na którego poglądamy z roskoszą, kiedy się rozwija, wzrasta, przychodzi do zaszczytów i do znaczenia na świecie. Przetoż radzibyśmy widzieć obecnego Hum'a, już to ze smutkiem, już z pychą i roskoszą, przy wszelkich zmianach losów Anglii, przy rozwijaniu się i wzroście téj wielowładnéj i potężnéj mocarki. Radzibyśmy to wszystko postrzedz; lecz tego nie oglądamy.

Teraz idąc za naszym podziałem, który podobnie jest foremnym i regularnym jak podział mów Kromwell'a, zastanowmy się nad przymiotami talentu: te, niewątpliwie, wybitniejsze są w dziele Hum'a, aniżeli przymioty duszy. Posiada on wysoką pojętność, ale ta pojętność rozumową jest raczéj, nie zaś od wyobraźni zależącą: wykłada on bardzo dobrze i dostatecznie wszystkie fakta materjalne, rozporządza je, bez

gmatwania, z porządkiem, czystością i metodą. Zaliż sięga z bystrością do głębi żądz ludzkich? Śmiemy powątpiwać o tém; śmiemy wierzyć, że wszystkie te dusze republikańskie i rojalistowskie, wprawione w poruszenie, postawione przed oblicznością rewolucyi angielskiéj, nie były zawsze prawdziwie przez Hum'a pojęte i zrozumiane. Utrzymuje, że Wigowie wyrzucali mu, iż płakał nad Strafford'em; lecz nam się zdaje, że on nie czuł nawet dostatecznie duszy tego człowieka, i że te jego łzy nawet, jeżeli tylko płakał istotnie, nie oddają zupełnéj Strafford'owi sprawiedliwości. Jakoż rzeczywiście, wystawiłże prawdziwie Hume szlachetne i wspaniałomyślne poświęcenie się Strafford'a, który nalegał na króla, ażeby podpisał wyrok śmierci, wydany nań przez izbę parów? Dziejopis nasz mówi: «Może bydź, że Strafford, przez to szczególniejsze wspaniałomyślności okazanie, spodziewał się zobowiązać króla, do tém silniejszego wstawiania się za nim; może też wyrzekał się swojego życia, prze-

to, iż je mniemał za nieodzownie stracone; a widząc się w ręku swoich wrogów, zrospaczył o możności wymknięcia się z niebezpieczeństw rozlicznych, które go ze wszech stron otaczały.» Tak więc poświęcenie się Strafford'a było rachubą, pewnym gatunkiem doświadczenia, uczynionego na woli monarchy, albo zrospaczoném postanowieniem człowieka, oddającego to, czego zatrzymać nie może. Nie!... a Wigowie nawet sami, nie mogliby, śmiele to powiémy, wyrzec przeciwko Strafford'owi niesprawiedliwszéj klątwy, nad to przypuszczenie, którego wszelakoż Hume uwłaczającéj Strafford'owi niesprawiedliwości rozumiéć nie zdołał. Zdawało mu się, iż usprawiedliwia rostropność Strafford'a, kiedy się nie postrzegł, że w nim wielki charakter znieważa. Tu się właśnie podchwycić daje związek szkodliwy pomiędzy przyzwyczajeniami sceptycznémi filozofa, a punktem jego widzenia w historyi. Z tą nauką interesu osobistego, któréj się, dla wszystkiego, Hume wyparł w jednym ze

swoich traktatów, lecz na któréj cała się jego filozofija kończyć zdaje, zaciężko nieco było pojąć poświęcenie się bezinteresowne Strafford'a, i bohatyrskie jego wyrzeczenie się żywota: przetoż Hume i nie umiał go odgadnąć.

Nakoniec, co się tycze tego przymiotu powszechnego, przymiotu, mówię, kompozycyi, nie zdaje się, ażeby Hume, pomimo swojéj wysokiéj znajomości faktów i wypadków, posunął go dosyć wysoko. Tu krytyka nasza wyłączniéj będzie literacką: Hume zdaje się całkowicie naśladować sposób Wolter'a, który jakożkolwiek był wielkim człowiekiem, nie rozporządzał wszelakoż szczęśliwie części, w dziele historycznéın. Hume, idąc za jego przykładem, rozdrabia interes, sieka na rozdziały żywoty ludzi pojedynczych i żywoty całych narodów, rzucając w odosobnieniu, z jednéj strony sztuki, handel, literaturę, umiejętności pod wszelkiémi formami, potém zaś mieszcząc z drugiéj strony ludzi i wypadki. Przytoczenie krótkie wytłumaczy myśl naszę.

Przy końcu panowania Jakóba II, równie jak przy końcu panowania Elżbiéty, autor się zatrzymuje; a na początku długiego rozdziału, któremu dał tytuł dodatku (*appendice*), mówi: «Tu się wypada zatrzymać, i obejrzeć w powszechności królestwo, pod względem jego rządu, obyczajów, finansów, sztuki wojennéj, handlu, umiejętności. Nie uczyniwszy sobie sprawiedliwego pojęcia o tych wszystkich rzeczach w szczególności, ciężko, ażeby historya nauczającą bydź mogła; zaledwo nawet da się ona zrozumieć.»

Cóżeś przecie robił aż dotąd? Opowiadaniu zatém poprzedniczemu brakło przymiotu nauczania i jasności? Dziwna jest, iż tak wielki dowcip od tak uderzającéj wady nie mógł się uchronić.

Bez ochyby, rozporządzenie wszystkich części życia ludzkiego i życia społecznego, rozdzielonych w całkowitości i postępie opowiadania, jest rzeczą nieskończenie trudną; potrzeba talentowi historyka zamożności szczególniejszéj, ażeby zająć rozmaitością

uwagę czytelnika i téj nie zaćmić: ale to, jest sposobem niedostatecznym i grubym, kiedy się odkłada na stronę to, co powinno bydź na podorędziu, kiedy się zapycha do kątka książki przedmiot, który śrzodkowe jéj kartki zajmować był powinien, kiedy się, po prostu tylko, zdaje rachunek z tego, co należało wystawić ożywioném, działającém, wpośrzód istoty rzeczy ludzkich.

Możnaż mniemać, naprzykład, że kiedy w rozdziale o sztukach, natrafiamy na półkartki krytyki Szekspira, że mówię pojmiémy, przez to tak dostatecznie panowanie Elżbiéty, jak żeby w ciągu opowiadania, ukazano nam Szekspira grającego przed oczyma Elżbiéty tragedyą jego: *Henryk VIII*, gdzie Katarzyna z Arragonu, prawa małżonka, poświęcona matce Elżbiéty, wydana jest, w rysach cnoty górnéj i na spełnienie swojego przeznaczenia gotowéj?

Dla czegoż nie umieszczono tych wiérszy poety, oklaskanych przez publiczność, w których dla pochlebienia Elżbiécie,

nazywa ją piękną westalką, zasiadającą tron Zachodu? Gdyby historyk napomknął w którémkolwiek miejscu, że skromna i surowa Elżbiéta, wymagała od Szekspira, ażeby wystawił cyniczną nieco osobę Falstaff'a, podobna anegdota, nie więcejżby powiedziała o Szekspirze i o jego czasach, aniżeli kawałek literackiéj krytyki? Ale Hume pogardzał témi anegdotami, które malują obyczaje, i rozmaitość opowiadania stanowią.

Wzięliśmy tylko ten najprostszy przykład, dla wskazania (lękając się zawsze popaść w omyłkę), ile ten sposób przyjęty przez Wolter'a, w *Wieku Ludwika XIV*, który zależy na drobieniu naśladowania życia ludzkiego, na rozdzielaniu samowolnie tego, co jest w całości swojéj ciągłém i rzetelném, jak ten, mówię, sposób daleki jest od interesu dramatycznego, którego w historyi szukać należy, a który tak dobrze znała starożytność.

Pozostaje jeszcze jedna do zrobienia uwaga. Styl Hum'a jest wytworny, czysty,

szlachetny, dowcipny z wymiernością. Ale wszystkie te przymioty, któreśmy naznaczyli za konieczne historykowi, tudzież wszystkie te formy, jakie one w oczach czytelnika przywdziać powinny, udzieliłyby stylowi historyka rozmaitości, od któréj wysłowienie Hum'a nader jest dalekie.

Na epoki historyi angielskiéj, tak rozmaite i różne z wybitnością od siebie, rzucił on, prawie obojętnie, szlachetną monotoniją, jednostajnéj wytworności. Życie barbarzyńskie, życie twarde, nieforemne piérwiastkowych czasów, nie dostarczyło mu barw innych, jak życie wytworne i cywilizowane tychże samych czasów, w których pisał: brakło mu zatém, jak się zdaje, na tém zrozumieniu życia barbarzyńskiego, które się równie przez wysłowienie, jak przez widoki dziejopisa, obwieszcza.

Za dni naszych, wielki pisarz, P. Chateaubriand, w dziele obcém dla historyi, piérwszy, jak się zdaje, podchwycił te żywe i dzielne barwy, przez jakie się wystawuje przed oczy rzeczywistość tych oby-

czajów barbarzyńskich, które, złagodzone nieco, już się nie podobają, a których cała oryginalność na dzikości zależy, a nawet dla interesowania i podobania się w pismie, muszą bydź odrażającémi.

Potém, młody pisarz, P. Thierry, w historyi Normandów (porównanie z Hum'em, sama tu zgodność przedmiotów wyzywa) przeniknąwszy się mocno duchem owych czasów barbarzyńskich, stowarzyszywszy się, za pomocą imaginacyi uczonéj i pojętnéj, z témi obyczajami twardémi, z tém życiem awanturniczém, z całym tym bytem z rokoszu i łupieztwa złożonym, który zdaje się stanem społecznym owych czasów, wskrzesił dla nas obyczaje oryginalne i ludy zatracone.

Jeszczeby wypadało powiedzieć coś o punkcie widzenia historycznym, otworzonym przez talent Hum'a; o tém wygórowaniu rozumu, które odznacza sławnego historyka szkockiego, a które kiedy się zastosuje do epok najnowszych, staje się wyższością stosowną do przedmiotu: lecz

to uniosłoby nas daleko od przedsięwziętego zamiaru, którym, jedynie było wystawienie, umieszczonego, w swéj epoce wizerunku H u m'a, jako człowieka i jako autora historyi. (*V.*)

ROZMAITOŚCI.

DOMEK MOJEGO DZIADA.

Wspomnienia przeszłości (*).

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potém, do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko, igrał przy piastunie,
Dziś, dla starca zmarłego, dał pod głowę w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Xięże! kamień bez sądu, rzuć prosto do piekła.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc, po długiém oddaleniu, do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie zalało się łzą miłego

(*) Wyjątek z rękopismów P. Ignacego Chodźki.

rozrzewnienia, na wspomnienie osób, których w tych samych, już nie ogląda izbach? a które go tu niegdyś z pieszczotą tuliły do serca! komuż nie będzie słodszą jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego, gdy był dziéckiem, piastunka, lub go stary dziadulek karmił? któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem, choćby jednego świadka, chwil dawno ubiegłych a obecnych sercu i pamięci obudwóch? jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiéj przeszłości! z jakąż roskoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się nanowo tego wszystkiego, na co dziecinném kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mojego dziada:

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te odeń w rozmaite strony wydeptane ścieszki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa, a co najbardziéj, tenże sam ogromny kamień, na którym, tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy, za jego długie życie, on, za naszę szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek, który tu był zamieszkał, ogałacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie

śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu, i te jedyne przy niemych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed lat kilkądziesiąt mieszkał tu Pan Maciéj Widmont skarbnik od pradziadów, dziadek mój; prawdziwy *Szlachcic na Zagrodzie*. Patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje, tém interesowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów zbytków i wspaniałości bogatych nadziadów naszych, wystawień ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów, pomiędzy obrazów wad klassy wyższéj i śrzedniéj, chcącéj zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziéj i nałogi, niżeli dobre, wybiecającéj przymioty; nie mamy prawie piérworysów (*type*) wygasłego już pokolenia owéj niższéj i uboższéj szlachty, w któréj skromnych zagrodach, przechowywały się, wśrzód powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie: bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczérość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumienia; przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijném, że tak powiém, ogniwem, gminne urojenia i powieści, z domowémi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezyą.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada: z tém szczupłém mieniem był on szczęśli-

wy i uszczęśliwiał. Jakiż to los do zazdrości!

Pszczółka, kłaczka i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica:

powtarzał często Pan Widmont, a szedł w gospodarstwie za tém staroświeckiém przysłowiem: to też dwa ogródki jego gajem, wiśni, jabłoni i grusz zaroślе, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało źrzebiąt, i corocznie wielka część pola jego złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, śpiżarnie i śpichrze.

Mój dziadek nigdy nie był bez zapasu pieniążków. O! dobrze pamiętam ów kuferek szczylnie okuty, w ciemnym kątku gardéróbki alkowéj stojący; z niego to dostawały mi się często talary i złotówki; a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za reflexyą, przeciw zbytecznéj hojności, przy każdém otworzeniu kuferka, powtarzał:

Pamiętaj przychodzie,
Żyj z rozchodem w zgodzie.

Domek ten mały, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, chędogi natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiéra dwie izby, *pokojami* honorowie zwane, *alkówkę z gardéróbką* i *bokówkę z alkierzy-*

kiem: bokówka ta, z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szérokim zédlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwalniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przede dniem na Rożaniec, wieczorem na Godzinki; tu faworytne, przy kawie rano, snów tłumaczenie i tu wieczorne przy kominie o upiorach i strachach gwary; którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć, i wszystkim niewiarę wmawiał; jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów, lub odkrywania zaklętych skarbów, niechcący z własném wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém: «*Dziatki! dziatki! bez woli Boga nic się nie stanie!*» Tu furczały wiecznie dwa kołowrótki, głusząc zwadkę dwóch świegotliwych prządek, zasłużonych pokojowek Jejmości; tu nakoniec, w niedziele i święta uroczyste, panna *Helena*, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnéj przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zédelku ze spuszczonémi skromnie oczkami, dla zabawy gości, cieniutko śpiewała światowe pieśni: *Pójdźcie, pójdźcie gąski moje do domu*: lub pod dobry humor Jegomości: *Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami.* (Rzadko jednak goście wstęp miały do bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje; w piérwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy, buntem błyszczących ozdobiony bisio-

rów, i co niedziela w świéże bukiety, śiarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę, pod nim bogaty relikwijarz misternéj roboty, i dzwoneczek loretański, odpędzający chmury, pioruny i nawałnice: kredens i insze sprzęty proste, dogadzały tu konieczněj tylko wygodzie; drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! Tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroświeckie, w kwiaty malowane, obicia okrywały ściany, tu stolików parę niegdyś malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talja kart polskich dobrze ogranych i filiżanka z garścią bobu na marki: tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego marjasza i świątecznego ćwika. Z jakimże interesem grano, gdy płatka dwóch złotych dochodziła!.... Mój dziadulek wyświeca *tuza*: brać czy nie brać? a krzyk powszechny: brać! brać! dodaje serca: ale płatka, odzywa się ksiądz pleban, chcący w duchu, aby gracz stchórzył, a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce: *raz, dwa, trzy*. Biorę, rzekł nakoniec z energiją godną podziwienia! co będzie, to będzie, biorę! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy: ciche *remis*, szepcze się już około stolika. — *Lepszy Pan Bóg jak Pan Rymsza!* zawoła nagle dziadunio: kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało; nikt! nikt! — Ksiądz proboszcz powróżył także w palce, spójrzał ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok

tuza król w sekundach! — A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt? po raz ostatni zapytał dziadunio: nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Iluż to przyjaciół w szczęściu! Każdy winszuje, każdy się przechwala, że koniecznie tuza brać życzył; wszyscy przyznają, że Pan skarbnik wybornie gra w ćwika! a jam skakał z radości.

O ileż to razy, ze szkolnéj uwolniony mozoły, jechałem tu na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy, upaja roskoszą niewinne serce! jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całém dziecinném jestestwem! Student z Borun z jakiémże uniesieniem postrzegałem zdaleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem! Wielkanoc, święto najweselsze! święto wiosny! święto odżywiającéj się natury! święto odkupienia i powszechnéj radości!

Ostatnie resztki sutéj Pańskiéj wieczerzy, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniéj soboty spożyty, i już z bokówki, jakby piérwociny jutrzejszych godów, miłe załatywały wonie, gdy huczne salwy artyleryi księdza proboszcza dawały hasło Rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa: bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie

musiał. Powitany wesołém Alleluja, dzień zaświtał wśrzód nabożeństwa; dzień piękny wiosenny! gromadnie i huczno wychodzono z kościoła: *Christos woskres! Christos woskres!* odzywano się naokoło; pozdrowienie to uroczyste mięszało się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu przechodząc przez ulice z łubek; około każdéj z nich, familija poczciwych chłopków w kupkę zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckim, ale na przepych wyporządzonym pojaździe, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W piérwszym pokoju, świéżą wysypanym jedlinką, długi stół okryty najsmakowitszém święconem. Tu na śrzodku baranek z czérwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodéj trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czérwoném jajem, zwyczajném wielkonocném włóczebnem; daléj indyk utuczony, który sam jeden w całym domu, przez post wielki, nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niéj, jakby dla zniepewnienia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia széroką zalega missę.

Cóż mówić o półgąskach, ozorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniéj stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu zasiadły szérokie, przysadziste, jakby téj śpiżarni gospodynie, dwie okrutne baby! ach! bez nich cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka gęsto wysypane czerwone garby, a ze śrzodka czarnawa lipka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smaczne były; garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania, zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano na księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotowywał się do swojéj roli; poglądano w okna, milczano lub szeptano zcicha; kotka tylko faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką, i filonek tańcował około stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz; mój dziadunio przejmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą wody i kropidłem, poświęca i błogosławi dary boże; a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyą, przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezuickiéj jeszcze

łaciny; wzajemnie zatém wyciął perorę proboszczowi, w któréj, i dzisiejsza solenność i respekt dla jego pasterskiéj godności *acuminose* połączone było: tu już następowały powinszowania, w których mniéj dowcipu, a więcéj prawdziwéj wylewało się czułości: syn i synowa, córki i zięciowie, ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy: nakoniec przychodziła koléj na wnuka. Aj! serce mi się wyrywało z piersi! Występowałem więc; koło się rozszérzyło, jam na śrzodku, pan dyrektor trochę bliżéj od innych, dla dodania serca i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energija mówcę zawiodły. Zaczynam.... O cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje! zaczynam po francuzku, i bez zająknienia się palę aż do końca: już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową, w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta; niewiele jéj wprawdzie rozumiał ksiądz professor, co ją układał, nie rozumiał pan dyrektor, co mi ją repetował, nie rozumiałem ja, który ją perorowałem, i nie rozumiał mój dziadulek, który jéj słuchał; ale cieszyli się wszyscy. Dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i busiakami osypał.

Traktował potém gospodarz wszystkich z kolei pokrajaném jajem, i nie opuścił najmniejszego dziécka; a z uczuciem równie życzliwém podawał talerz swym dzieciom,

jak swym sługóm i wiernéj czeladce, która potém szła do piekarni i posilała się, nie tak wytworném, lecz równie obfitém święconem.

Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru pan Huszczanowski organista, dął on bez miłosierdzia na klarynecie i skwarzącym się jak petelnia głosem wtórował Pannie Helenie: *Wesoły nam dziś dzień nastał!* i t. d. O Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w nizkich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nieszczęśliwym? gdzie to liczne plemie rezydentów, poczciwych próżniaków, którzy jak błędni rycerze, włokąc się z miejsca na miejsce, trawili życie po cudzych, jakby we własnych, domach, i dowodzili, jeżeli nie swójéj ochoty do pracy, to gościnności i dobroci dziadów naszych. Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

Czemuż z miłych rzeczy zgubą
Człowiek pamięci nie traci? (*).

Gdy teraz w wieczór równie jak dawniéj spokojny i miły tegoż samego Wielkonocy

---

(*) Kropiński w piosnce: *Te brzóz kilka* i t. d.

święta, ja sierota, po wszystkich moich, usiędę na kamieniu, niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy uroczystą ciszę pięknéj kwietniowéj nocy, chrząszcz tylko z burczeniem przeciągając, kiedy niekiedy przerwie, nagle pieśń: *Wesoły nam dziś dzień nastał!* rozlega się w oddaleniu. Wieśniacy obchodząc w nocy po siołach, winszują sobie tą pieśnią doczekanego święta (*); ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mém sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi, i jakby echo grobowe odbija się wewnątrz ze drżeniem!

Mój dziadunio miał także swoje wspomnienia, i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne, domowe tylko miało dlań pamiątki: rok taki to, był urodzajny; w tamtym zima wymroziła mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie, a po nich wojna okropna; po wojnie głód, w czasie którego swojemi zapasami wyżywił on swych włościan i sąsiadów nie skąpo wśpiérał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki i gorliwie trzymał stronę Pana marszałka swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec liczył jak z regestru dzieje festów, kaznodziei i plebanów swojego parafialnego kościoła, o kroków kilka set z klasztorkiem drewnianym, niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

(*) Zwyczaj ten trwa zawsze.

— Szczególna to łaska Boga nad nami, moje dzieci, powiadał mi poczciwy dziad mój, że tak blizko mamy dóm boży! co za wygoda! co dzień bez pojazdów i zaprzęgów odbydź pobożną przechadzkę na mszą świętą. Inszy tu wprawdzie dawniéj był porządek, inaczéj wszystko i lepiéj: co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! jakie festyny za Ojców Jezuitów! tu jak tu! ale naprzykład w *Żodziszkach*, moje dziecię, gdziem ja do szkół chodził! daleko o tém i gadać. — Tu nagle mój dziadunio zamilkł, łza mu spłynęła po twarzy, obrócił się do krzyża i wzniósłszy ręce do góry westchnął głęboko i rzekł: *Requiem aeternam dona ei domine!* — Cóż to dziaduniu? pytałem, po kim to płacze? po kim się modli dziadunio? — Ach! moje dziecię, nie mogę spójrzeć na tę ubogą dziś plebaniją, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypomniał, nie westchnął do Boga za duszę mego najlepszego przyjaciela: w téj oto tam na prawo celce, już teraz pustéj, mieszkał on niegdyś, święty prawdziwie człowiek! ksiądz Obłoczymski, kapłan *Societatis Jesu*: był on moim professorem Retoryki w Żodziszkach: otoż moje dziecię, skończywszy ja szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie; aż w lat cztéry czy pięć przybywa na rektora do tutejszego Zgromadzenia, tenże sam ksiądz Obłoczymski

mój *praeceptor* i dobrodziéj: co to za radość dla mnie była, moje dziecię, gdy mię on raz piérwszy odwiedził i pobłogosławił moję chatkę! może dla tego i dotąd Bóg w niéj mieszka i nam sporzyć raczy: codziennie potém widywaliśmy się z sobą; święty! prawdziwie święty człowiek; największy exorcista w całéj Litwie. Sam nie raz bywałem świadkiem, jak czartów z nawiedzonych wypędzał. — Ach! dziaduniu! krzyczałem wtenczas, całując go w ręce, jak to było? jak to było? — Ot tak moje dziecię, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniéj, z dopuszczenia bożego, napadał na jaką babę, a czasami i na mężczyznę, i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętana, ale już to nie baba, lub mężczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał; krzyczał, skakał, bluźnił, różnémi językami gadał, i po łacinie i po niemiecku, i takim nawet językiem, że go nikt nie rozumiał; a najbardziéj księży nienawidział. Takich, moje dziecię, nawiedzonych o mil kilkadziesiąt tu do *Kościeniewicz* do księdza O b ł o c z y m s k i e g o przywożono: oho! jak tylko po mszy świętéj pokazał się on z kropidłem, stułą i agendką, zaraz djabeł go poznawał, i wiedział co z nim będzie; toć już zaczynał łajać świątobliwego kapłana: — a ty klechu! a ty taki! a ty owaki! precz! czego chcesz ode mnie? rzucał się w oczy, groził: ale to nic nie pomagało, O b ł o c z y m s k i przy-

stępował odważnie, kropił najpiérwéj babę wodą święconą i związywał stułą, przy stosownych a gorliwych modlitwach: djabeł poznawał, że kusa rada! daléj więc do próśb, do lamentów i obietnic: — A ojczeńku! a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiém, co z tobą będzie po śmierci, a ja ciebie nauczę gwiazdy liczyć! — Nic, nic nie chcę od ciebie, wychodź tylko precz ztąd; wołał Obłoczymski, wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił. — Aj! aj! aj! nie léj warem, nie léj! wrzeszczał djabeł. Bo widzisz moje dziecię, woda święcona parzyła go jak ukrop. — Zaraz wyjdę, zaraz! ale gdzież mi się podzieć? pozwól księże włazę ot tu niedaleko w tłustego wieprza; obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty organista wlecze się przez cmentarz; poznał Obłoczymski chytrość djabelską. — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź tam zkądeś przyszedł, i gdzie tobie Bóg naznaczył mieszkanie! Wychodź wnet! — Nie chcę ja do piekła, księżulu, nie chcę! oto wiész co? pozwól, włazę w zgniłą kłodę, tam na drodze pod Kurzeńcem. Miarkował znowu Obłoczymski, że szatan myśli go oszukać: — dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi chłopek pijany leży na drodze, i zły duch chce odmienić tylko kwaterę. — Zgadłeś klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan! No to wyjdę, ale daj mi

czasu, wyjdę za rok, dam cyrograf na to: Obłoczymski na żadne termina nie zgadzał się, a coraz bardziéj modlitwą, kropidłem i świętémi słowami djabłu dokuczał; to koniec końcem musiał czart ustępować i wyjśdź z nawiedzonego. Aże bywały zdarzenia, iż szatan niby wyszedł, a tylko się przytajał, więc kapłan zaklinał go, aby dał znak swego odejścia. — Dobrze księżulu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie. To się znaczyło, że na pożegnanie, skręciłby palec, lub okoby biédnemu nawiedzonemu wyłupił. — Nie szatanie! wynijdź jakeś wszedł! *Conjuro te!* Łaciny najbardziéj djabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umié. To już daléj nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakręcił wichrem na piasku; a biédny nawiedzeniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nieżywy u nóg Obłoczymskiego. Wszyscy potém, za promotorstwem tego świętego ojca, odmawialiśmy Litaniją, dziękując Bogu za cud wyraźny i wyzwolenie duszy chrześcijańskiéj z mocy czartowskiéj.

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dziesiątek, mówił daléj mój dziadek, siadając ze mną na owym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajném odpoczynku, i dogadzając żywéj méj chęci słuchania, która wzajemnie jego chęci opowiadania dziejów dawniejszych, chęci tak zwyczajnéj starcóm, dogadzała, znowu coś sobie przypomniał i opowiedział. — Gdy razu pewnego ze stron

dalekich przywieziono opętańca, o którym powiadano, że był szlacheckiej kondycyi, że nawet niedawno odprawił pielgrzymkę do Rzymu, co tém większą nabawiało nas ciekawością, i ksiądz Obłoczymski tém świątobliwiéj przygotowywał się do téj praktyki. Ależ to w nim musiał bydź niechybnie sam lucyper! Rzecz tylko dziwna, jak się dostał do tak bogobojnego człowieka! Jakiż uparty! jaki bluźnierca! zimny pot lał się z czoła biédnemu kapłanowi, potrzykroć najsilniejsze powtarzał zaklęcia: wszystkich nas obecnych wzywał, abyśmy się modlili, co też i czyniliśmy bez ustanku; organistę, jako nałogowego opilca, a zatém będącego w grzechu śmiertelnym, precz odprawił; słowem pracował jak mógł, i nakoniec uchodził szatana.—Jezuito! krzyknął bies wściekły. Jezuito! wychodzę, wypędzasz mię, wypychasz gwałtem! ale pamiętaj Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą; z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką; pamiętaj na moje słowa! pamiętaj Jezuito! wtém kichnął opętany aż mu się krew nosem rzuciła, i padł jak bez duszy.—Zgiń, przepadni, do piekła szatanie! krzyknął Obłoczymski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje proroctwa!—Amen! zawołaliśmy wszyscy i zwyczajną wnet zaczęliśmy Litaniją.

Niestety! czart wiedział co wyrzekł;

ledwo lat dwie potém upłynęło, gdy raz do izby, gdziem z czeladką Rożaniec odprawiał, wszedł do dnia ksiądz Obłoczymski; zdziwiły mię tak ranne jego odwiedziny:— *Laudetur Jesus Christus!* — *In secula seculorum!* odpowiedziałem. — A! nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować Rożaniec: więc tak i zrobiliśmy; po ukończeniu zapytał mię Obłoczymski: czy pamiętasz waszeć, Panie Macieju, tak mię bowiem w prostocie serca i w poufałości przyjacielskiéj nazywał, czy pamiętasz waszeć, co powiedział ostatnim razem szatan, gdym go z nawiedzeńca wypędził? czy pamiętasz, co prorokował naszemu Zakonowi?— przypominam, rzekłem;— otoż się i zjściło! Nie ma już Jezuitów! — Jak to? zawołałem, *Reverendissime*? Nie rozumiém co mówisz! — To się ma znaczyć, że Klemens XIV skassował nasz Zakon: bullę jego dziekan wczora wieczorem przywiózł do naszego klasztoru; dziś nam ją *ex officio* ogłosi: kościołek nasz i klasztor przyjmie w swoje zawiadowanie, a nam rozejśdź się dozwoli. Przychodzę więc do waszeci, Panie Macieju, prosić małego kątka dla mojéj staréj głowy i kawałka chleba. Będę ci pomagał w twojéj gospodarce, będę twoje dzieci i twoich chłopków uczył Boga chwalić, i będę Jego łaski w codziennych modlitwach dla was prosił. — Ojcze! rzekłem płacząc i całując, jak zwyczajnie to czyniłem, jego ręce, ojcze! każdym kęsem,

każdą odrobiną chleba mojego podzielę się ochotnie z tobą: mieszkaj z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubogiéj chatce mojéj, gdy święty sługa Jego w niéj przebywać będzie! Płakaliśmy obadwa, uściskał mię ksiądz Obłoczymski! tak Bóg chciał, rzekł: tego widać wymaga dobro świętéj Religii naszéj: oby wszyscy bracia moi, z równąż co ja, ten cios, znieśli cierpliwością! Spodziewałem się, że waszeć mię przyjmiesz chętném sercem; ot przynajmniéj będę mógł codzień odprawić mszą w kościele, w którym przez tyle lat Boga chwaliłem; i pocieszać się z waszecią, Panie Macieju, którego jak brata kocham.— Uścisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim nowym gościem do klasztoru.

Do ostatniéj tam chwili jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczajnych godzinach codzienne odbyło się nabożeństwo, na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia, lub wewnętrznego niepokoju; w podwojonéj tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomi rzeczy, widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku, uciekającego się do Boga, i szukającego ulgi w zupełnéj uległości Jego świętym wyrokóm.

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach, i w samém tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim napełnił kościół: po

ukończeniu nabożeństwa, stanął ksiądz dziekan, *pontificaliter* ubrany, na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie księży, odczytał bullę papiezką, kassującą Zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów (*). Wnet po ukończeniu ksiądz Obłoczymski, jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego Zgromadzenia, *ex abrupto* począł mówić oracyą pożegnalną; obowiązywał braci swoich do zniesienia bez szemrania woli bożéj, objawiającéj się wyrokiem głowy chrześcijańskiego kościoła; zaklinał, aby przestając bydź zakonnikami, pamiętali, że są kapłanami i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętéj Chrystusowéj Religii, a zatém, że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnót chrześcijańskich; a teraz szczególniéj cierpliwości i pokory: żegnał potém nas jako pasterz trzodę, którą opuszcza; płakał lud zgromadzony, płakali kapłani, i my wszyscy; ksiądz dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec ksiądz Obłoczymski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego; przez chwilę tak cicho i w głębokiém zebraniu ducha pomodliwszy się, powstał, zaintonował *Te Deum laudamus*, wziął krzyż w ręce, wyszedł z kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne i klucze w ręce

---

(*) Z miejscowego podania.

dziekana złożył (*). Rozeszli się księża w rozmaite strony, to do rodzin swoich, to do Wilna, to na kapelanów. Mój ksiądz Obłoczymski, wziąwszy krucyfix w ręce a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, Panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

Odtąd aż do śmierci składał on z nami jednę rodzinę, szanowaliśmy go jak ojca, on kochał nas jak dzieci. Oto, między temi kilką sosenkami, grób jego: wybrał on sam i poświęcił ten gaik na cmentarz dla chłopków naszych, i sobie na nim miejsce przeznaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine!* wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przyjaciela, wśrzód poddanych i sług moich. Ale co mówię? źle ich nazywam; wśrzód braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chléb robi, i dla nas w pocie czoła pracuje, to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziéj.

Te i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę moję najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka; jego wiara, wspomnienia, przesądy, cnoty, zwyczaje, razem zlane, utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń, do których przylgnęło młodzieńcze serce moje, i które, po wielu latach odrętwienia, z głuchym żalem budzą się w niém

(*) Z miejscowego podania.

nanowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spójrzenia na przeszłość naszę; i dumając nad każdym osobliwszym téj drogi wypadkiem, spocząć nakoniec ostatniém wytchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda. Rzekłbyś, że dusza nasza przygotowywa się tym sposobem, i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy nieprzebyty szlak wieczności, na które, z łona jéj spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie piérwsze z ostatniém ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takiém to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego, i powtarzam, z rozrzewnieniem, zdanie warmijskiego wieszcza:

Domku mój miły, widok mię twój krzepi;
Wszędzie mi dobrze, a w tobie najlepiéj.

Historya Litewska dla dzieci przez L. A. J.—Wilno. W drukarni A. Dworca. 1836. — w 12ce str. 59.

Autor téj malutkiéj lilipuckiéj książeczki, znać jeszcze w zawodzie literackim poczynający, przestał na skromnym tytule historyi, chociaż równém prawem mógł ją był nazwać, Nauką moralną, obyczajową, historyą naturalną: ponieważ w niéj o wszystkiém jest mowa, tylko nie Historyą litewską, bo o tém nie ma w niéj najmniejszéj

wzmianki, jak się to z następnych miejsc okazuje:

Pytanie. Co Wojdewutas (u Herulów) postanowił?

Odpowiedź. Wojdewutas postanowił, aby rodziców lub innych starych, jako niezdolnych do pracy, topiono i zabijano, żeby darmo chleba nie jedli.

P. Czy dobre było to postanowienie?

O. Nie, gdyż dzieci nie tylko *powinny* czcić i szanować rodziców, ale nawet wspomagać i bydź podporą ich starości. Od rodziców odebraliśmy życie, oni nas hodowali; słuszna więc jest rzecz, abyśmy im byli wdzięczni i wszystkiémi siłami starali się osłodzić te troski, jakie dla nas ponosili. Dzieci, które nie kochają rodziców, są od Boga przeklęte!

Lecz tenże Wojdewutas nie mędrszym był i w innych swych postanowieniach, jak o tém autor od tychże się Herulów dowiedział.

P. Czego Wojdewutas nauczył Herulów?

O. Nauczył miód sycić, aby pijąc gromadnie dzikości się lud pozbywał.

Daléj autor, z właściwą sobie trafnością i jasnością, opisawszy przybycie Palemona

Kolumny Rzymianina z towarzyszami do Litwy, od Italii tak nazwanéj (chociaż wyżéj nieco namieniono, iż syn Wejdewuta Litwos od swego imienia ten kraj nazwał Litwą), okazawszy *jaki to był naród Rzymianie*, namieniwszy, iż Ziwibunt do kolumn herbu litewskiego, przydał swego centaura, zapytuje, nie wiémy którego z Rzymian nieboszczyków:

P. Co to jest Centaur?

O. Jest to wyobrażenie konia, mającego ludzką głowę.

W niektórych miejscach autor podług swéj krytyki, prostuje błędy nieuków historyków:

P. Czém się (Utenes) wsławił?

O. Roku 1277 kawalerów Inflantskich, *którzy potém Krzyżakami się nazwali*, po dwudniowéj batalii, zbił tak, iż tylko pięciu się uratowało ucieczką.

Wszyscy musieli poledz, bo ich śladu nie ma w historyi.

Nakoniec, na probkę wysokiego stylu historycznego, przytoczymy następną odpowiedź:

—Jagiełło uciszywszy mocą broni i wspaniałomyślności wewnętrzne w kraju rozruchy, podniósł swe zamiary wyżéj nad sferę książętóm litewskim dotąd zakréśloną.

Dłużéj się zatrzymywać nad tą zbiéraniną banialuków i oddawna już zapomnianych brédni, poczytywalibyśmy za ubliżenie historyi, w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Dodamy tylko, iż zgorszeni przykładem autora, sposobem katechetycznym przedmiot swój traktującego, po przebieżeniu téj książeczki, któraby się zmieściła na kilku kartkach zwyczajnie drukowanych, mimowolnie wpadliśmy na następne pytanie:

Jakby należało poczynać z książkami bez sensu i znajomości rzeczy pisanémi, aby nie wprowadzać w błąd ludzi ślepo w tytuły wierzących, i nie dopuścić szérzenia bałamuctw obrażających prawdę?

I zdaje się, iż każdyby odpowiedział: — należałoby podobne ramoty palić w rękopismie: — za co dzieci, których niewinne głowy najwięcéj od nich cierpią, byłyby nieskończenie wdzięczne.

PRZYPOWIEŚCI W DUCHU PISMA Ś.

Salomon w młodości.

Do ulubieńca swego, rzekł jednego razu król dobrotliwy: «Proś mię o co chcesz, a to dano ci będzie.»

A młodzieniec rzekł sam do siebie: «O co błagać mam, abym potém nie żałował życzenia mego? Dostojeństwa i znaczenie

już posiadam: złoto i srébro są najniepewniejszém dobrem człowieka. O córkę króla prosić będę, bo ona mię kocha jak ja ją kocham, a z nią otrzymam razem wszystko inne. Zaskarbię sobie nade wszystko serce dobroczyńcy mego, albowiem przez dar ten, on zostanie moim ojcem.»

Ulubieniec poprosił, i skutek uwieńczył prośbę jego.

Kiedy Bóg poraz piérwszy młodzieńcowi Salomonowi ukazał się we śnie, rzekł do niego: «Proś co ci mam dadź, a będzie ci dano.»

A patrzaj; młodzieniec nie prosił o złoto ani o srébro, ani o dostojeństwa i chwałę i długie życie; poprosił o córkę Boga, niebieską mądrość, a z nią razem otrzymał to wszystko, czego sobie tylko mógł życzyć.

Jéj więc poświęcił najpiękniejsze pienia swoje; ją wysławiał przed ludźmi, jako jedyne szczęście téj ziemi. Póki ją kochał, posiadał serce Boga i miłość ludzi; przez nię tylko jednę, po śmierci nawet, żyje jeszcze z téj strony grobu.

Salomon w starości.

Rozpusta, bogactwo i sława, tak dalece zaślepiły Salomona w dojrzałym wieku, iż zapomniał o narzeczonéj młodości swéj, o

mądrości, i zwrócił serce swoje ku wszelkim próżnościóm.

Raz, kiedy się przechadzał po wspaniałym ogrodzie swoim, usłyszał rozmawiające źwierzęta i rośliny (albowiem rozumiał mowę źwierząt i roślin), i skłonił ucho, aby się dowiedzieć co mówią.

«Patrzaj, rzekła lilija, król dumnie koło mnie przechodzi, a ja pokorna świetniejsza jestem niż on.»

A palma, powiewając gałęźmi, rzekła: «Otoż idzie, ciemiężyciel kraju swego, a jednak śpiewają mu, że jest drzewem palmowém. Gdzież jego owoce, gdzież liście, któremi ludzi orzeźwia?»

Poszedł daléj i usłyszał słowika śpiewającego kochance: «Jak my się kochamy, tak Salomon nie kocha, tak nie kocha żadna z lubownic jego.»

A gołąbka gruchała małżonkowi swemu: «Z tysiąca żon jego, żadna go tak żałować nie będzie, jak ja płakałabym ciebie, mój jedyny!»

Rozgniewany król przyśpieszył kroku, i przyszedł do gniazda bociana, co hodował pisklęta, i chwytał je na skrzydłach swoich, gdy je do lotu wprawiał: «Tego, rzekł bocian do piskląt, król Salomon nie czyni synowi swemu Rehabeamowi: i dla tego też syn jego nie będzie błogosławiony; obcy panować będą w budowach i królestwie jego.»

I król skrył się do najdalszéj komnaty, i był smutny i milczący.

A gdy tak siedział w głębokiém zamyśleniu, oto narzeczona jego młodości mądrość, stanęła przed nim niewidomie i dotknęła się jego oka. Zasnął snem twardym i ujrzał smutne widzenie dni przyszłości.

Widział państwo rozdzielone w skutek odpowiedzi nierostropnego syna; w dziesięciu odszczepionych, uciśnionych przezeń pokoleniach, obcy królował. Rozwalone ujrzał domy swoje, zniszczone ogrody przez trzęsienie ziemi, kraj spustoszony, a świątynia Boga była pastwą płomieni. Przelękniony zerwał się ze snu.

I patrzaj; oto stała przed nim widomie przyjaciołka młodości, zapłakana, i rzekła doń: «Widziałeś co w przyszłości się stanie, a do tego wszystkiego tyś grunt założył. Już nie w twéj mocy odmienić co minęło: bo nie możesz rozkazać rzece, aby się cofnęła do źrzódła swego, ani młodości twéj, aby się wróciła. Dusza twa znużona, serce wyczerpane, a ja, opuszczona kochanka młodych dni twoich, nie mogę ci już bydź towarzyszką w krainie doczesnego życia.»

Rzuciła nań okiem pełném litości, a Salomon, co młodość swą różami uwieńczył, napisał w podeszłym wieku smutną księgę o marności wszech rzeczy ludzkich na ziemi.

(*Godfred* Herder. — *Blätter der Vorzeit.*)

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU SZÓSTYM ZAWARTYCH.